[nr 7]

Gwarantowana liczba stałych abonentów **7000.**



Idą w szyku, w blaskach cali
Szlakiem pośród szarych niw.
Leci do nich pieśń wiosenna:
„Idź drużyno ty wojenna,
Idź do krwawych żniw“. —

Idą szlakiem w blaskach cali
Serce z nimi lecieć chce —
Oracz czapkę zrywa z czoła,
„Szczęść wam Boże!“
Z duszy woła. J.

Szanownych Czytelników prosimy usilnie o łaskawe rozpowszechnianie naszego pisma.



Bywało!

Bywało — szły w boje
Huzarskie zastępy,
A polski miecz ostry,
Wracał do dom tępy —
I pohańców roje
Kładły się w mogiły,
Zdobyte sztandary
Zwycięztwa liczyły.

Bywało — daleko
Polska sława brzmiała,
Czerń szwedzka — tatarska,
Przed nią nieraz drżała,
Nie liczba, lecz męztwo
Rycerstwa dzielnego
Gromiła wciąż wroga
Mordu pragnącego.

Bywało, że obce
Narody strwożone
Błagały u Polski
Opieki — obrony...
A haracz płacili,
Ci, co szli zuchwale,
By skruszyć nas w mocy
Pragnąc tego stale.

Bywało — las srebrny
Polskich kos ostrzonych,
Pokonał mur armat
Na nas nasrożonych,
A Zygmunt grał wieścią,
Zwycięztwa naszego...
Ah!... bo tak bywało
W dniach szczęścia jasnego!

Lecz dzisiaj — łzy płyną,
Puste nasze pola
Błysk szczęścia — zgasiła
Wiekowa niewola...
Tylko czarnych krzyżów
Na ziemi przybyło,
I serce tak bije
Gorąco jak biło.

Jadwiga S.



Krok naprzód!

Artykuł nasz pod tytułem: „Groch o ścianę“ potwierdził jedynie to, cośmy w nim napisali, a mianowicie nie znalazł oddźwięku w prasie naszej. Jedynie „Goniec Wielkopolski“ — o ile nam wiadomo — wspomniał o nim, lecz uczynił to w formie polemicznej, zniewalającej nas do krótkiej chociaż odpowiedzi — w długie bowiem polemiki wdawać się nie możemy. W tym wypadku nie miałoby też to nawet celu, aniby sprawie korzyści nie przyniosło. „Gońcowi“ chodzi bowiem w pierwszej linii o to, że nie „Praca“ — lecz on — „Goniec“ — pierwszy poruszył myśl porozumienia się względnie zjednoczenia dziennikarzy. Twierdzeniu temu bynajmniej nie przeczymy, chociaż wiadomo nam, że *inni* już zajmowali się tą myślą — chętnie też pozostawimy „Gońcowi“ chwałę, o którą mu tak chodzi, bo nie powoduje nami ambicya — lecz jedynie chęć przysłużenia się sprawie. Dochodzenie autorstwa i pierwszeństwa pomysłu odwiodłoby nas od właściwego tematu — więc damy temu pokój. Wiadomo zresztą, że powtórzenie pomysłu w stosowniejszym czasie i w odpowiedniejszej formie większe niekiedy posiada *praktyczne* znaczenie, niż inicyatywa pomysłu. Ale mniejsza o to — dziś nie chwila po temu, aby o to spór toczyć.

Zresztą „Goniec“ sam przyznaje, że nasz projekt, a raczej projekt kolegi N. ze Śląska, różni się w formie a poniekąd i w istocie od jego projektu. Podczas bowiem, gdy „Goniec“ marzył i marzy zawsze jeszcze o *politycznem i zasadniczem* porozumieniu reprezentantów prasy, — my *na razie* zadowolić się chcemy porozumieniem i zjednoczeniem w praktycznym, więcej materyalnym kierunku, pocieszając się nadzieją, że po zrealizowaniu tego pomysłu łatwiej będzie pomyśleć i o przeprowadzeniu tego, do czego „Goniec“ zmierza. Na to atoli „Goniec“ się nie godzi. Bujając w sferach idealnych gorszy się nawet naszym „poziomym“ projektem i uważa zajmowanie się takiemi sprawami, jak *wspólne sprowadzanie papieru i jednolite warunki inseratów* względem firm *obcych*, wprost za rzecz *niegodną dziennikarzy*, za sprawę wydawców i drukarzy. Niechże nam „Goniec“ daruje, jeśli powiemy mu, że w tem rozróżnianiu „wydawców“ od „redaktorów“ grubo przeholował, że płynąc po niebiosach, zapomniał o ziemi, na której sam stąpa i stąpać musi. Czyż „Gońcowi“ nie wiadomo, że wydawcy większej połowy pism naszych są zarazem ich *redaktorami?* że i w innych redakcya i wydawnictwo są tak ściśle z sobą połączone, iż interes jednej strony jest zarazem interesem drugiej i na odwrót? Dwie trzecie niemal prasy naszej walczą po prostu o byt w trudnych warunkach położenia naszego, i jak to już w naszym artykule zaznaczyliśmy — od powodzenia materyalnego zależy u nich *jakość* strony redakcyjnej. Każdemu, nawet stosunkowo najzasobniejszemu przydadzą się oszczędności na papierze dla *ulepszenia treści*, więc i redaktorzy grubo w tem zaangażowani, ażeby wydawnictwu dobrze się powodziło. Że zaś zbliżenie się na tem polu jest łatwiejszem, niż na polu różnic zasadniczych i różnic osobistych zapatrywań panów redaktorów, to chyba nie ulega żadnej wątpliwości, tak samo i to, że takie porozumienie i zjednoczenie ułatwiłoby także bardzo, bardzo późniejsze porozumienie się redaktorów na właściwem ich polu. Nie trzeba budować domu od dachu — bo dach w powietrzu nie zawiśnie, lecz od fundamentów. Fundamentem jest przecież wydawca a redaktor dopiero dachem, czy nie tak kochany redaktorze „Gońca“?

Czyż zresztą redaktorzy, już *jako stróże także ekonomicznego dobra społeczeństwa*, nie mają w tem interesu, ażeby jak najmniej polskiego grosza wychodziło z kraju do kieszeni obcych?

W drugim artykule zarzuca nam „Goniec“, że zwracając uwagę na niedomagania prasy, podkopujemy zaufanie do niej w społeczeństwie. W tym samym atoli artykule ten sam „Goniec“ pisze, że prasa polska ma obowiązek wykazywać wszelkie niedomagania w społeczeństwie, czyli jak dodatnio się wyraża: prać publicznie *wszelkie „brudy“*. A więc społeczeństwu i jednostkom wolno wytykać błędy i niedomagania, prasie zaś nie? Już to zestawienie wystarcza, ażeby wykazać bezpodstawność zarzutu i dla tego od dalszych wywodów polemicznych odstąpimy. Swoją drogą wyrażamy „Gońcowi“ uznanie za to, że jedyny ze wszystkich dzienników polskich na nasz artykuł zwrócił uwagę.

Lecz teraz do rzeczy! Jakkolwiek pomysł nasz — z wyjątkiem „Gońca“ — nie znalazł oddźwięku w prasie naszej — *nie był „grochem rzucanym o ścianę“* — przeciwnie — możemy się podzielić z czytelnikami naszymi tą *pomyślną* wiadomością, że *jest dziś bliższym urzeczywistnienia, niż sami przypuszczaliśmy*, puszczając go w świat. Zawdzięczamy to wprawdzie nie kolegom po piórze, ale głównie *jednemu z najwybitniejszych naszych finansistów*, który widząc w nim wyraźną *korzyść* dla społeczeństwa, bardzo się nim zainteresował, a co ważniejsze, stawił nawet projektodawcom do dyspozycyi *kapitały* na jego zrealizowanie.

To też dzięki tak doniosłemu i poważnemu poparciu, wydawnictwo „Pracy“ energicznie się wzięło do rzeczy i stara się o pozyskanie dla projektu pism polskich, już nie drogą publicznej dyskusyi, lecz drogą bezpośrednich *osobistych* układów. A i to przedsięwzięcie już zostało uwieńczone pomyślnym skutkiem — gdyż kilka i to *poważnych* organów przyrzekło swój współudział.

Ważna to bardzo rzecz; sprawa z stadyum projektu przeszła w stadyum *czynu* — a że się tak stało, to już chyba *wyłączna* zasługa kolegi ze Śląska pana N. — oraz *naszego pisma*, a przedewszystkiem dzięki materyalnemu poparciu zasłużonego finansisty, mającego dobro ogólne na oku. Może więc wkrótce już doczekamy się w Poznaniu *związ-*

zku dziennikarzy, za którym „Goniec“ tak wzdycha, a więc pierwszej *realnej* próby zbliżenia i pojednania. Więcej na razie o sprawie tej pisać byłoby nie dobrem — sądzimy też, że czytelnicy nasi ucieszą się wraz z nami, iż sprawa postąpiła już tak wielki krok naprzód i że głos nasz nie był tą razą *„grochem o ścianę rzucanym!“* *M.*



Wystrzegajmy się obłudy.

Gdy pod wpływem względniejszych dla nas prądów w rządowych sferach berlińskich zapanowała u nas śp. „polityka ugodowa“ — nie taili narodowcy nasi słusznej może zresztą obawy, że polityka ta wpłynąć może pod niejednym względem na społeczeństwo nasze usypiająco — jeżli już nie wprost demoralizująco, że oziębłejsze dla naszych skarbów i ideałów narodowych żywioły — pod pozorem, że nie należy drażnić ani zniechęcać naszych „przyjaciół“ berlińskich, lub prowokować nieprzejednanych — zaczną wogóle unikać wszelkiego na zewnątrz manifestowania uczuć narodowych. Z tego — jak prowokowano — wytworzy się z czasem polityka *zapierania* się polskości w życiu publicznem — która jaknajgorzej oddziałać może na młodsze pokolenie, a tem samem na całą naszą narodową przyszłość.

Czy obawy te byłyby się spełniły — nie wiemy; sławetne bractwo hakaty nie pozwoliło nam doczekać tego przypuszczalnego rezultatu polityki ugodowej. Sprowadziwszy zmianę prądów w Berlinie i nowe na nas ciosy, odebrało nam na długie lata, jeżeli nie na zawsze, ochotę do szukania dążności ugodowych. Dziś chyba nie mamy najmniejszego powodu liczyć się z jakąkolwiek życzliwością niemiecką: bo taka życzliwość już nie istnieje, — znikła nawet, a przynajmniej znika coraz bardziej, nawet w kołach niemiecko-katolickich, które dla własnego interesu a może i potrosze dla wspólności wyznania do niedawna pozornie przynajmniej nam ją okazywały.

Inne społeczeństwo w naszem położeniu, społeczeństwo silniejsze a przedewszystkiem *energiczniejsze*, więcej ufające własnym siłom, byłoby po tej nieudanej próbie ugodowej, w której na tyle ofiar z naszej strony odpowiedziano nam nietylko wielką figą — ale nawet nową jeszcze zaciętszą walką, znalazło dosadnią na taką odpowiedź odprawę: Jeżeli nas nie chcecie do wspólnej pracy — to obędziemy się bez was i będziemy rzeczywiście odtąd społeczeństwem zamkniętem w sobie, polegającem jedynie na sobie samem; a swoją drogą, gdy już żadne nie krępują nas względy — tem usilniej, jawniej i energiczniej manifestować będziemy nasze właściwości narodowe, pielęgnować je z zdwojoną troskliwością i strzedz od zagłady.

Nasze społeczeństwo niestety takiej odpowiedzi nie dało. Skończyło się na lamentach i narzekaniach, z których hakatyzm drwił niemiłosiernie. A co gorzej, gdy napór srogich żywiołów wzmagał się coraz bardziej, gdy dziś biją w nas z siłą brutalną i bezlitośną — znalazło się w społeczeństwie naszem niemało takich, którzy bardzo upadli na duchu i dziś znów prowadzą na własną rękę pewnego rodzaju politykę *względności* dla tych prądów nieprzejednanych! Zauważyć to można mianowicie w kołach zarobkujących, ale też we wszystkich, tak wśród inteligencyi wśród lekarzy, adwokatów — jak i wśród kupców i przemysłowców — a nawet wśród rolników. Każdy z tych „ostrożnickich“ zasłania się obawą o byt. Nie chce więc brać udziału w wielu sprawach publicznych wyłącznie polskich, w obchodach narodowych, w pracy towarzystw, a conajmniej nie chce, by wymieniono jego *nazwisko* — „bo to hakatyści, którzy tylko czychają na moją klientelę — zaraz z tego wezmą asumpt do zbojkotowania mnie wśród Niemców. Stracę odbiorców niemieckich a tem samem i większą połowę dochodów — a może zupełnie zostanę zrujnowanym!“

W tem twierdzeniu jest tylko tyle prawdy, że hakatyści dziś rzeczywiście czychają na każdą polską egzystencyą i pragną nam zupełnie odebrać klientelę niemiecką. Atoli w dążnościach swoich nie czynią różnicy pomiędzy Polakiem „ostrożnym“ — a Polakiem „odważnym“, lecz obu prześladują z równą zawziętością; powiedzielibyśmy nawet, że tych „cichych“ i „ostrożnych“ więcej jeszcze niż „odważnych“, według starej zasady, że kto się boi, ten nie ufa własnym siłom, a więc też łatwiej może być pokonanym. Można też zauważyć wręcz oryginalne przykłady. Znamy kupców, którzy „z zasady“ nie uczęszczają na żadne polskie zebrania i obchody, aby „się nie narazić“ — a którym hakata mimo to wyrządziła już wielkie szczerby w dochodach; znamy zaś innych, którzy wszędzie, gdzie o polskość chodzi, stoją na czele i rej wodzą, — a którzy mimo to i mimo wszelkich zabiegów hakaty posiadają jeszcze bardzo liczną i *wierną* klientelę niemiecka. Psychologicznie da się to łatwo wytłomaczyć: Tacy kupcy i przemysłowcy, lekarze i adwokaci okazują przez to, że się nie boją bojkotu — więc nawet przeciwnicy przypuszczają: ha, to widocznie *dzielni w swym zawodzie* — więc też spodziewają się z ich strony *lepszej* obsługi, rady lub pomocy, niż nawet od wielu swych ziomków. Z drugiej znów strony polska klientela, widząc taką odwagę cywilną, ma do tych współobywateli większe zaufanie, większą życzliwość, — no i tem chętniej ich popiera — niż takich, którzy się od wszelkiej pracy publicznej stale usuwają. I tak też być powinno! Społeczeństwo, od którego lekarz, adwokat, kupiec lub przemysłowiec wymaga poparcia materyalnego, ma wszelkie prawo żądać, ażeby ci panowie nawzajem popierali wszelkie cele i prace społeczeństwa, aby pracowali wraz z niem i dla niego. A tymczasem zachodzi prawie codziennie, że właśnie ci „tchórze“ pośród nas, ci „ostrożniccy“ najgłośniej — *ale na uboczu* (!) w cztery oczy narzekają na brak poparcia rodaków i poparcia takiego się *domagają*. Za co? za to, że boją się publicznie przyznać do polskości?

Nie zarzucamy tym panom, że braknie im poczucia polskiego, — przeciwnie, wierzymy ich zapewnieniom, że w gruncie serca są *wiernymi* Polakami, ale zarzucić im musimy *brak odwagi cywilnej*, brak *solidarności* z całem społeczeństwem — a brak to wielki i pełen smutnej doniosłości w takiem jak nasze położeniu. Frazes o *„cichej pracy“* już dziś nie popłaca. I my naturalnie potępiamy wszelkie nierozważne drażnienie, wszelkie prowokacye, ale stanowczo zaprotestować musimy przeciwko temu, ażeby pod pozorem „cichej pracy“ — jedynie dla *siebie* — setki rodaków cofało się od pracy *publicznej*, i to takich, których położenie materyalne i inte-

ligencya mogłyby społeczeństwu wielkie oddać przysługi.

Jakby ironia, gorzka ironia, brzmiała też w naszych uszach wiadomość, że hakatyści zbojkotowali zupełnie, to jest odebrali *niemiecką* klientelę lekarzowi *Polakowi*, — jakkolwiek tenże w sprawach *polskich publicznych wcale udziału nie brał!* Dostał więc — za swoje.

Obłuda jest zawsze szkodliwa a niegodna uczciwych ludzi. W naszym zaś społeczeństwie może stać się *arcyszkodliwą*. W tym wypadku rozbija nasze siły, osłabia nasze szeregi, demoralizuje młodzież — ucząc ją, że *dla kawałka chleba* należy się zaprzeć pozornie chociaż ideałów narodowych — i wzbudza podejrzliwość i nieufność w własnym obozie, a nikogo nie chroni przed złośliwością i zawiścią wrogów. A więc precz z obłudą, bądźmy Polakami nietylko w domu, nietylko na własnych zebraniach, ale i wobec odbiorców i klienteli niemieckiej. Nie stracimy na tem nic zgoła, a zyskamy dużo!!

J.



Trudna sprawa.

Do rzędu bodaj czy nie najtrudniejszych zadań naszej reprezentacyi parlamentarnej w Berlinie — zarówno w sejmie pruskim jak i w parlamencie — należy kwestya kierunku polityki ekonomicznej.

Która z warstw zarobkujących cieszyć się ma poparciem naszych posłów przy pracach prawodawczych? Ktoś, powierzchownie na rzecz patrząc, mógłby powiedzieć: posłowie są reprezentantami wszystkich warstw społecznych, wszystkie więc popierać powinni. Takie naiwne zapatrywanie nie może rozwiązać trudności, ponieważ wewnętrzne życie ekonomiczne państwa jest niczem innem jak *walką* klas zarobkujących, jak ubieganiem się licznych amatorów o jedno i to samo miejsce przy stole biesiadnym. Nie zawsze warunki składają się tak szczęśliwie, że zapomocą jakiejś akcyi prawodawczej zaspokojone mogą być żądania wszystkich, a przynajmniej kilku warstw społecznych i najczęściej dzieje się tak, że to, co dla jednej warstwy jest pożądanem, to wydaje się szkodliwem dla innej itd. Trzeba więc wybierać i w zasadzie kierować się względami na dobro ogółu.

Nie będzie jednak bezpodstawnem, jeśli ktoś rzecze: „Nasi posłowie mają reprezentować życzenia ludności polskiej, więc niechaj w polityce ekonomicznej rządzą się tylko względami na tę ludność polską. Niechaj popierają wszystkie te projekty, które jaką taką korzyść przynieśćby ludności polskiej mogły, nie oglądając się na to, czy — w ogóle rzecz biorąc — państwo całe na tem zyska, lub straci.“

Zapatrywanie takie bezwątpienia byłoby słuszne, gdyby liczyło się z charakterem i położeniem ekonomicznem tej ludności polskiej w dzisiejszych czasach. Jeszcze przed ćwiercią wieku można było z pewnem uzasadnieniem uważać ludność polską pod zaborem pruskim za coś jednolitego ekonomicznie; wtedy, gdy cała niemal produkcya ekonomiczna koncentrowała się w rolnictwie, wtedy nie było warstw zarobkujących o tak różnorodnym zakresie pracy, aby się życzenia ich nawzajem miały wykluczać. Lecz dziś jest inaczej: dziś stoimy jedną nogą w rolnictwie — drugą w handlu, rzemiośle, przemyśle drobnym i większym, a to odmienne od dawnego ugrupowanie się poszczególnych warstw przybiera coraz bardziej cechę dwóch odłamów konsekwentnie zwalczających się nawzajem w całej Europie: odłamu rolniczego po jednej stronie i odłamu przemysłowo-handlowego po drugiej stronie. Rolnicy żądają zamknięcia granic dla dowozu obcego zboża, przemysł i handel zaś skarży się na drożyznę zboża i radby obce zboże bez wszelkich przeszkód sprowadzał.

Jakże więc zadowolnić te wykluczające się nawzajem życzenia?

Gdy p. Skarżyński swego czasu wydał swą popularną „Naszą sprawę“ — o ile się zdaje jeden tylko ustęp z tego dzieła nie obudził poklasku, lecz zdania podzielił; a ustępem tym było właśnie zdanie, dotyczące polityki ekonomicznej naszych posłów, którym dr. Skarżyński zalecał chodzenie ręka w rękę ze związkiem rolników i agraryuszami niemieckimi.

A teraz niedawno, gdy poseł Janta-Połczyński przemawiał w obronie zakazu dowozu rogacizny z zagranicy, niemal cała prasa nasza zanotowała mowę tę jako wyraz jednostronnych (nb. agrarnych) zapatrywań. Pokazało się później, że poseł Janta-Połczyński na tem bezwzględnie jednostronnem stanowisku nie stanął, jak mu pierwotnie w komunikatach przypisywano. — Mniejsza z tem — bo to faktu, a raczej nauki z tego faktu nie zmniejsza. W obydwóch przytoczonych wypadkach widzimy w warstwach zawodowo nie stojących w styczności z rolnictwem natychmiastową i niemal bezwiedną reakcyą, gdy tylko projekty czysto rolniczej natury wchodzą w rachubę.

Co do ostatniego faktu, dowozu bydła — to nie ulega wątpliwości, że rolnictwo na zakazie dowozu korzysta, bo ceny mięsa idą w górę; lecz na to utyskuje kupiec, robotnik miejski i wogóle cała ludność miejska, że właśnie mięso za drogie. Wyobraźmy sobie, że poseł Janta-Połczyński, aby dogodzić żądaniom ludności miejskiej, przemawiał za otwarciem dowozu bydła, a możemy sobie wyobrazić, jakby to przyjętem zostało przez naszych rolników. Bo różnica dążności na polu ekonomicznem istnieje i z rokiem każdym wzrasta w miarę zwiększania się elementu miejskiego a zmniejszania się (ilościowego) ludności wiejskiej w stosunku do wzrostu miast.

To więc dogodzenie różnorodnym interesom jest trudną do rozwiązania sprawą.

Wszystko co by się w danym razie uczynić zalecało, byłoby to umiarkowane trzymanie się w rezerwie, gdy rozstrzygają się na arenie parlamentarnej interesy ekonomiczne tych dwóch przeciwległych biegunów gospodarstwa narodowego. Przeciwieństwa u nas z natury rzeczy nie są tak ostre, aby koniecznością faktów popychać miały posłów do zajęcia ściśle określonego stanowiska w sferze dążeń ekonomicznych, przeciwieństwa te jednak mogą być łatwo bardzo pogłębione przez jakiekolwiek angażowanie się w kierunku zwłaszcza agrarnym.

Niedługo rozpocznie się agitacya przeciwko odnowieniu traktatu handlowego z Rosyą. Jest do przewidzenia, że w Niemczech z okazyi tej dojdzie do ogromnego rozjątrzenia i obudzenia sprzeczności pomiędzy przemysłem i rolnictwem. Wprawdzie nasze warstwy mieszczańsko-przemysłowe nie są bezpośrednio związane z tym traktatem, niemniej jednak nie sądzimy, aby posłowie nasi mieli zająć stanowisko nieprzychylne traktatowi,

Na omówienie szczegółów jeszcze zawcześnie.

Nasuwa się jednak jeszcze jedna sprawa, mająca już mniej styczności z ekonomicznym bytem, niemniej jednak ważna. W ubiegłym tygodniu wniesiono w parlamencie projekt zmiany taryfy pocztowej na gazety. Obecnie poczta pobiera opłaty za pośredniczenie w abonowaniu gazet w formie procentu 20 % od ceny abonamentu gazet tak codziennych jak i tygodniowych. Otóż ma to uledz zmianie i to z tej racyi: Poczta dostawia tak samo drogie gazety jak i gazety tanie codziennie: dajmy na to, taki „Dziennik Poznański“, kosztujący około 4 mk. i „Gazeta Grudziądzka“ za 1 mk. sprawia poczcie jednakową pracę roznoszenia; tymczasem za roznoszenie pierwszego pobiera poczta od czytelnika 80 fen., podczas gdy za roznoszenie drugiego pisma tylko 20 fen. Poczta chciałaby więc od „Gazety Grudziądzkiej“ pobierać tyleż co od „Dziennika Poznańskiego“. Wynik prosty ten, że „Gazeta Grudziądzka“, a wraz z nią tyle innych gazet markowych, *ludowych*, musiałoby odnośnie podwyższyć prenumeratę i to z marki i 20 fen. — na 1 mk. 80 fen. Najokropniejsza byłaby to klęska dla oświaty naszego ludu, bo znaczna liczba gazet tanich nie mogłaby liczyć na swych prenumeratorów. Wobec tego my nie możemy kwestyi tej traktować inaczej jak tylko z punktu widzenia naszej ludowej oświaty, a z tego punktu, nie bacząc na wszelkie, może i usprawiedliwione tłomaczenia poczty, muszą głosy polskie w Berlinie oświadczyć się *przeciw* podwyższeniu taryfy pocztowej, przeciw *podrożeniu pokarmu duchowego* naszych warstw ludowych, przeciw przeważaniu szali w walce konkurencyjnych małych gazet z wielkiemi pismami — *na szkodę małych.*

Kazimierz Radwan.

Z piśmiennictwa ludowego.

Kilka słów o oszczędności i o bankach ludowych.

Skreślił W. Szyperski z Katowic.

Niepozorny, cieniuchny zeszycik o 20 stronkach. A jak nieraz w niepozornem z powierzchowności ciele kryje się szlachetny charakter, tak też i w tej broszurce pod ubożuchną zewnętrzną szatą kryje się myśli zdrowych kilka, które, gdyby trafiły do serca i umysłu naszego ludu, wielki pożytek by mu przyniosły. Język niewyszukany, słowa proste — trafiają do serca prostaczków: i dla tego też właśnie sądzimy, że broszurka pana Szyperskiego więcej zdziałać może dobrego, niż niejeden mniej przystosowany do poziomu umysłowego czytelników traktacik o bankach.

Podajemy broszurkę p. Szyperskiego poniżej w streszczeniu:

Powiadają ludzie rozumni, ludzie pracy, że złoto t. j. pieniądz, leży na ulicy, na drodze, i że trzeba mieć tyle tylko bystrości, aby je spostrzedz, aby je znaleść i podnieść. Znaczy to tyle, że wszędzie i na każdym kroku można zarobić, można zgromadzić mniej lub więcej majątku, jeżeli jest się człowiekiem myślącym, a przytem pracowitym i oszczędnym.

Ale jak to jest prawdą — rozumie się w przenośni — że złoto, że pieniądz leży po ulicach i po drogach, jak dalej i to jest prawdą, że na tysiąc może ślepych zaledwie jeden się znajdzie, co je ujrzy i do kieszeni schowa, tak to jest większą jeszcze prawdą, że tysiące ludzi grosz ciężko nieraz i krwawo z uszczerbkiem sił i zdrowia zapracowany, wyrzuca lekkomyślnie, bez zastanowienia na ulicę, na drogę, w błoto, jak małe dziecko zepsutą zabawkę.

Trzeba więc przy każdem kupnie, przy każdem zapotrzebowaniu tego lub owego przed każdym wypadkiem zapytywać siebie samego: „a czy to mi rzeczywiście potrzebne, czy to chcę kupić tę piękną szafę, stół i t. p., choć je mam i to w dobrym stanie, tylko dla tego, że mój sąsiad ma takie?“. Za każdym razem trzeba sobie stawiać pytanie, powtarzać z naciskiem aż do znudzenia, zawsze, ciągle, bezustannie jedno i to samo pytanie:

— A czy mi też to koniecznie potrzebne? czy nie zaczekać lepiej do przyszłego roku, bo przecież mam, dzięki Bogu, wszystko, czego mi potrzeba, w domu, tak w stajni, jak i śpiżarni i piwnicy i na grzbiecie, tak jak ja i moja rodzina?

Każdy w ten sposób niewydany pieniądz trzeba uważać za cudem ocalony, za nienależący już więcej obecnie do mnie, ale do mojej przyszłości. Pieniądz ten trzeba schować. Najlepiej mieć skarbonkę, do której w tym razie i w każdym innym zresztą trzeba takie ocalone grosze składać, a gdy się zbierze kilka lub kilkanaście marek, a mam sprawunek do miasta, w którem się znajduje bank ludowy, to wypróżniam skarbonkę, chowam ten ocalony od zagłady pieniądz do kieszeni i składam go w banku ludowym, gdzie jest zabezpieczony przed handlarzem i kupcem zachwalającym swoje towary, przed złodziejem i ogniem i gdzie pieniądz ten dla mnie pracuje, bo *przynosi procent.*

Tak jak powietrze potrzebne do życia, gdy nas otacza, lub lekkiem kołysane powiewem wiatru odświeża naszą krew, nasze siły, nasze życie, ale jako szalony wicher, jako niczem niepohamowany orkan wszystko, co na drodze swej napotyka, obala i niszczy, kaleczy i zabija, wszystko, co żyje — tak jak woda z cichym szmerem wypływająca ze źródła lub stojąca spokojnie na dnie studni niezbędną jest dla nas, bo gasi nasze pragnienie, bo myje nasze ciało i nasze sprzęty i koniecznym jest czynnikiem w pracy wewnętrznej naszego ciała, ale jako rozszalały, wściekły, rozhukany żywioł, występujący z łożysk rzek lub ze zerwanych chmur potokami lejący się na biedną wtedy ziemię. wszystko zalewa, niszczy, rozrywa i topi, tak i ta nieszczęsna wódka, ta wstrętna opara, która wreszcie w maleńkiej użyta ilości, być może, przyzwyczajonego do niej przynajmniej na chwilę pokrzepia i wzmacnia, ale użyta bezrozumnie w nadmiernej ilości kala duszę człowieka, niszczy ciało jego, sprowadza nieszczęście nietylko na niego samego, nietylko na pijaka, ale i na niewinną żonę jego i jeszcze niewinniejsze jego dzieci, pogrąża je w nędzy i wystawia na pogardę ludzi.

Jeżeli potrzebujesz pieniędzy, to udaj się do banku ludowego, a tam za poręczeniem dwóch twych znajomych, porządnych i poczciwych ludzi, uzyskasz pożyczkę, nie potrzebując mieć strachu, żeby cię od razu, jak nie możesz zapłacić, oddali sądowi. W banku ludowym możesz dług spłacać powoli, częściowo. A jeżeliś miał złożony w banku zaoszczędzony grosz, to wcale nie potrzebujesz pożyczać, tylko wybierzesz sobie z twych własnych pieniędzy tyle, ile ci z powodu nieszczęścia lub nagłej niespodziewanej przyczyny potrzeba i powiesz sobie: „jak to dobrze oszczędzać i składać zapracowany grosz.“ W tych wszystkich sprawach objaśnią cię chętnie i dokładnie w banku ludowym.

Bardzo uwagi godnem jest w broszurce p. Szyperskiego dobre zrozumienie i wyjaśnienie tego pewnika, że nie na tem polega oszczędność, aby jak najwięcej zaoszczędzić pieniędzy, choćby kosztem zdrowia — lecz na tem, aby rozpoznawać w życiu trafnie *istotną* potrzebę od potrzeby *rzekomej,* a dalej na tem, aby kosztem zaoszczędzonych na odmówieniu sobie rzekomych potrzeb pieniędzy módz zaspokoić potrzeby prawdziwe. Taką np. istotną potrzebą, na którą nie należy spoglądać jako na niepotrzebny wydatek, lecz na konieczną potrzebę zdrowia — są kąpiele:

„Kąpiel najbiedniejsza rodzina mieć może i mieć powinna. Kto mówi inaczej, temu wręcz powiem, że albo kłamie, albo jest próżniakiem, za leniwym, aby zadać sobie tę odrobinę pracy, jaka jest potrzebna do przysposobienia kąpieli. Przez utrzymanie ciała w czystości będziecie zdrowi i silni, a nie potrzebując tym samym ani lekarza ani leków, dużo, dużo przez rok oszczędzicie pieniędzy, które złóżcie w banku ludowym".

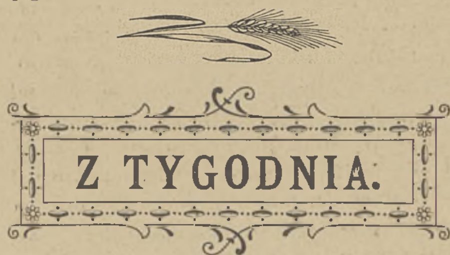
Obowiązkiem też jest każdego, zabezpieczyć się na życie i to najlepiej w młodszych latach, dla tego, że mniej potrzeba płacić, a właściwie bardzo mało, — a w późniejszym wieku wypadnie dużo płacić. Właściwie każda młoda para, która się pobrała, ślubując sobie dozgonną wierność na stopniach ołtarza w świątyni Pańskiej, powinna się zabezpieczyć na życie zobopólnie. Jesteśmy przecież wszyscy śmiertelni i „nie wiemy ani dnia ani godziny." W razie więc śmierci jednego z małżonków, a przedewszystkiem męża zabezpieczonego nie popada wdowa w biedę, nędzę, bo dostaje z towarzystwa, w którem się zabezpieczył nieboszczyk, wypłaconą sumę, na jaką się zabezpieczył i nie potrzebuje zaoszczędzonego i w banku ludowym złożonego grosza wybierać, tylko pozostawia go dalej dla dzieci i nie będąc po otrzymaniu zabezpieczenia w kłopocie o pieniądze, dołoży jeszcze jaką część do oszczędności.

Pomoc to wielka i niejedna, ale tysiące wdów ocaliło się przez to od biedy i nieszczęścia i mogło wychować dzieci-sieroty na poczciwych i porządnych ludzi. Nadmieniam raz jeszcze, że najlepiej się za młodu zabezpieczyć. Mając np. lat 25 płaci się od 100 marek około 2 mk.

A teraz na samym końcu, kochany czytelniku, po przeczytaniu i przyswojeniu sobie tych wszystkich tutaj wymienionych uwag i rad wystaw sobie, że oszczędzałeś na takie sposoby, jakie ci tu w krótkości podałem i jeszcze inne, które nauczony niniejszemi, sam sobie wynajdziesz kilka, kilkanaście lat. A gdy zaoszczędzony pieniądz w razie nieszczęścia, kalectwa lub starości z banku ludowego ci wypłacą, wtedy z radością w sercu, ze spokojem w duszy, czystem sumieniem i zadowoleniem wewnętrznem będziesz mógł sobie powiedzieć: „dzięki Bogu Najwyższemu, przecież żyłem jak człowiek; nie mam ani ja, ani moja żona na stare lata biedy, kiedy już kości kruche i trudnoby było na kawałek chleba zapracować; córkę jedną i drugą wyposażyłem, tak, że dobrych, porządnych, poczciwych i pracowitych dostały mężów, mających na zaczęcie grosz gotowy, tym samem drogę otwartą do zrobienia majątku; synowi jednemu, co pracuje w fabryce, kupiłem domek i kawałek gruntu, co dla niego wielką jest pomocą i z powodu tego dużo może zaoszczędzić, złożyć w banku ludowym i czegoś lepszego po kilku latach się dorobić i zacząć pracować samodzielnie, na własną rękę; drugiemu urządziłem za zaoszczędzone pieniądze cały warsztat. Wiemy, że nas nikt nie będzie przeklinał, że przeciwnie te nasze dzieci często będą wieńczyły ciche groby nasze, będą modlić się za spokój dusz naszych z wdzięczności, że przez naszą oszczędność mają się dobrze, że za naszym przykładem nauczyły się oszczędności, tej pierwszej podstawy dobrobytu — szczęścia.

A zatem zapisz to sobie, kochany czytelniku głęboko w sercu niezatartemi głoskami: oszczędność! oszczędność przedewszystkiem!

Radzibyśmy byli, gdyby ruch wydawnictw ludowych pozwolił nam na omówienie takiej jednej książeczki choć raz w miesiącu. Bo to pewna, że lud by czytał i korzystał dużo, gdyby choć raz w miesiącu mógł nabywać coraz to nową pouczającą książeczkę po 5 lub 10 fenygów. *R.....*



Z TYGODNIA.

Jesteśmy zawsze gotowi do zanotowania dobrej strony Niemców, o ile dają istotny powód do tego. Z prawdziwą też przyjemnością notujemy tu fakt, że profesor uniwersytetu w Lipsku, Lamprecht, potępił publicznie na zebraniu młodzieży szowinizm narodowy i narodową nietolerancyą.

Przedstawiciele idei monarchicznej — tak mówił prof. Lamprecht — powinni zrobić wewnętrzny obrachunek z sobą, czy działalność ich przyczynia się do poparcia demokratycznego ruchu narodowego. Niestety brak charakteru i służalczość — oto coraz częstsze cechy, które dziś spotykamy u ludzi, którzy obchodzą się z bezwzględnością w stosunkach z ludnością.

Zapytajmy się sami siebie, czy nie wyrodził się wśród nas ten dziki głośny, ale bezmyślny szowinizm narodowy?, szowinizm delektujący się w bezkrytycznem chełpieniu się z dorobku ojców!

Na nieszczęście, nie prędko słowa prof. Lamprechta zbudzą głębszy ruch w społeczeństwie niemieckiem, bo ono zaczyna dopiero tańczyć za batutą hakatystów i nieprędko przyjdzie ocknienie.

Rosyjski rząd rozesłał już do mocarstw zaproszenie na konferencyą antimilitarną. Cyrkularz podpisany został przez kanclerza państwa rosyjskiego, Murawiewa.

Na wstępie przypomina Murawiew, że w sierpniu przeszłego roku, kiedy projekt carski o rozbrojeniu przedłożył przedstawicielom obcych państw w Petersburgu, zdawało się, iż urzeczywistnienie tego projektu nie natrafi na przeszkody. Życzliwe przyjęcie tego projektu prawie przez wszystkie państwa mogło dodawać otuchy.

Ale mimo sympatycznego przyjęcia tak przez rządy, jak przez opinią publiczną we wszystkich warstwach ludności i na wielu punktach kuli ziemskiej — polityczny widnokrąg w ostatnich czasach znacznie się zmienił. Niektóre mocarstwa przystąpiły do nowych uzbrojeń i dokładają jeszcze starań, aby swoje siły zbrojne jeszcze więcej powiększyć. Wobec tak niepewnej sytuacyi można było postawić pytanie, czy mocarstwa w chwili obecnej uznają za stosowne przystąpić do narad międzynarodowych nad projektem, rozesłanym dnia 12 września. Jednak w nadziei, że żywioły zamętu ustąpią wkrótce miejsca spokojnej rozwadze, rząd carski mniema, że może uda się przystąpić do wstępnej wymiany myśli między mocarstwami, aby:

po pierwsze wyszukać bezzwłocznie środki dla położenia kresu wzmagającemu się wzrostowi uzbrojeń na lądzie i na morzu — jest to kwestya, która staje się coraz więcej naglącą przez wzgląd na nowe rozmiary uzbrojeń,

po wtóre, aby przygotować sposoby roztrząsania tych pytań, które odnoszą się do zapobiegania wojennym zatargom środkami pokojowymi.

Gdyby mocarstwa uznały chwilę bieżącą za stosowną do zebrania się międzynarodowej konferencyi na podstawach wyżej wymienionych, wówczas dobrzeby było przez porozumienie się między gabinetami ułożyć program pracy.

Przejdźmy do naszych stosunków.

Zaznaczenia godną rzeczą jest konferencya, jaka odbyła się niedawno w sprawie podniesienia ekonomicznego „dzielnic wschodnich." Na naradę, złożoną z zastępu radców ministeryalnych, zjechał też naczelny prezes Prus Zachodnich, Gossler. Obrady toczą się w zupełnej tajemnicy.

Powszechnie uskarżają się na zamęt, jaki wynikł wskutek germanizowania nazw wsi rozparcelowanych. Wprawdzie W. Ks. Poznańskie nie zgermanizuje się przez zniemczenie nazw miejscowości, ale powoli traci swój zewnętrzny charakter. Któż by np. poznał w niemieckiem Morgenau nasze stare Jankowo, znane jako miejsce rodzinne krakowskiego biskupa Bodzanty, który wyklinał Kazimierza Wielkiego za zabicie Baryczki! Gorzej jeszcze dzieje się na Szląsku i w Prusach Zachodnich. Celem zachowania tradycyjnych nazw polskich trzebaby sporządzić wykaz wsi przechrzconych. Podobno nad zrobieniem takiego wykazu pracuje obecnie p. Józef Mycielski z Kobylegopola.

Wyborną charakterystykę stosunków panujących pod zaborem pruskim daje mowa posła, radzcy Mottego, którą tu w streszczeniu podajemy: „Ubolewam nad powiększeniem funduszu dyspozycyjnego, celem popierania niemczyzny. Jeżeli fundusz ten nie jest funduszem gadzinowym to należy sejmowi przedłożyć rachunek, sprawozdanie z używania funduszu. Przeciwko pozycyi na bibliotekę w Poznaniu jestem dla tego, bo miasto ma już trzy biblioteki, które dla każde-

go są dostępne. Biblioteka nie przyczyni się też do rozszerzenia ogólnej oświaty. Minister skarbu, przy układaniu budżetu powiedział: „Nie walczymy w dzielnicach wschodnich, ażeby zwyciężyć, tylko na to, aby sprowadzić spokój i zgodę. Do tego potrzeba, abyśmy i nasi ziomkowie byli silni.“ To jest spokój cmentarny. Stwierdzam w tej izbie przed całą Europą, przed całym światem, że rząd narodu kultury, który maszeruje na czele narodów kultury, oświadcza bez ogródki, że w interesie pokoju rozpoczął walkę tępienia przeciwko równouprawnionej części ludności. Przeciwko temu protestuję w imieniu wszystkich mych ziomków. Jeżeli się komu zabiera skarb najdroższy, t. j. język ojczysty, czy można żądać, żeby była zgoda?

Mówca odczytuje z „Schles. Volks Ztg.“ sąd pewnego Niemca, który tak mówi: „Jeżeli Polaków uważamy za wrogów, czyż nie jest wprost niedorzecznością, gdy żądamy od nich patryotyzmu?“ Mówca zwraca w dalszym ciągu uwagę na tajne rozporządzenia regencyi w Bydgoszczy i Gdańsku, wzywające nauczycieli, ażeby pracowali nad tem, by dzieci w rodzinach i pomiędzy sobą po niemiecku mówiły, a do kościoła chodziły na niemieckie nabożeństwa i kazania.

W dalszym ciągu zwraca się poseł Motty przeciwko towarzystwu hakatystów. Nienawiść u niektórych Niemców zamieniła się w istną polonofobię. W okólniku z r. 1882 powiada jeszcze rząd pruski: „Religia i język są najświętszemi skarbami tego narodu“. Jeżeli te podpory osłabicie, lud nasz ogarną republikańskie i socyalistyczne prądy. Nie porzucam jeszcze nadziei, że rząd i ta część narodu niemieckiego, która stoi przeciwko nam, zejdzie z dotychczasowej drogi i postępować będzie podług zasady: *justitia regnorum fundamentum* — sprawiedliwość podstawą państw. To jest jedyna droga, ażeby nas pogodzić i pozyskać w przyszłości.

Mówca omawia następnie napaści na jedność Kościoła katolickiego w dzielnicach polskich. Zdaje się, że niektóre koła myślą, ażeby w miejsce archidyecezyi poznańskiej utworzyć osobny generalny wikaryat dla niemieckich katolików. Gdyby to miało nastąpić, to protestantyzm wciągnie w Poznańskie. — Niektórzy Niemcy szowiniści cierpią po prostu na kołowaciznę polską. Rodzą się u nich rozmaite pomysły, jak np. u profesora Hassego zrodził się pomysł, ażeby nieślubne dzieci z 40 niemieckich miast wysłać do wschodnich prowincyi jako „krzewicieli cywilizacyi“. Mówca, powołując się na artykuł w „Posener Zeitung“, skarży się na szczucie hakatystów. Bismark powiedział swego czasu: „My Niemcy boimy się tylko Boga, zresztą nikogo na świecie“. Nie jest to jednak bojaźnią Bożą, jeżeli się nie zważa na przykazanie Boskie: „Miłuj bliźniego twego“. Państwo ma obowiązek traktować wszystkich poddanych jednakowo. Nie jestże to czemś niesłychanem, jeżeli zakazuje się nam mówić po polsku na naszej własnej ziemi, tak, nawet w rodzinach? Doprowadzicie jeszcze tak daleko, że nasi ziomkowie, którzy spełniają obowiązek służby wojskowej wobec pruskiej monarchii, ten obowiązek przeklinać będą. Chciałbym tylko wiedzieć, coby w Niemczech powiedziano, gdyby w Austryi i Rosyi w podobny sposób przeciwko Niemcom występowano. Ale szowinizm, ta nędzna karykatura prawdziwego ducha niemieckiego, już wielu ludzi sprowadziła na bezdroża.



PRZEGLĄD PRASY.

Na innem miejscu podajemy w streszczeniu świetną mowę posła naszego sędziego Mottego, wygłoszoną w sejmie pruskim. Obecnie zaś musimy z obowiązku dziennikarskiego zanotować nieciekawe komentarze, jakich się wobec tej mowy, czystej jak szkło, dopuścił **„Posener Tageblatt:**

„Bezpodstawne zarzuty czynił poseł pan Motty, krytykując rozmaite pozycye w etacie państwa pruskiego — dążące do uszczuplenia Polakom dobrodziejstw, jakie wypływają dla obywateli z równouprawnienia w państwie konstytucyjnem. Prawił o jakiemś pogwałceniu i zwykłe wytaczał znane skargi Polaków. Niesłychaną jest rzeczą, żeby Polakom uszczuplano używanie ich języka ojczystego. Jest to tak niesmaczne twierdzenie, że taki mąż wykształcony i z takiem stanowiskiem jak p. Motty wstydzić by się powinien w sejmie tak występować. Tego samego rodzaju jest protest p. Mottego z powodu tego, że Niemcy śmią Polaków uważać za obcych na własnej ziemi. A któż ich tak nazywa? przecież nie Niemcy. A czyż Niemców pisma polskie codziennie nie nazywają przybyszami. To też p. Staudy prawnikowi p. Mottemu należytą dał naukę — a my pozwalamy sobie powiedzieć, że król Fryderyk Wilhelm III wyraźnie Polakom oświadczył, że kiedy im zapowiedział „i wy macie Ojczyznę“ mówił i rozumiał przez to tylko ojczyznę pruską“.

Trudno już chyba zdobyć się na wyższy stopień hypokryzyi, niż na ten, na który wspiął się hakatystowski Tageblatt.

Niepiękne światło na arcydyrektora hakatyzmu, profesora Lieseganga, z Berlina rzuca przebieg procesu dziennikarza Hardena przeciw profesorowi Delbrückowi. Pokazało się otóż przed sądem, że ten hakatysta podmówił znajomego literata do puszczenia w kurs plotki, oczerniającej jego własnego kolegę, profesora Delbrücka. Takiej metody denuncyantów nauczył się prof. Liesegang zapewne dopiero w Hakacie, bo przedtem przyjmowano go mile nawet w towarzyskich kołach. I tego to pana chcą podobno zrobić dyrektorem biblioteki w Poznaniu!

A propos procesu Delbrücka! Pan Tiedemann, też hakatysta zarzucał, że Delbrück w piśmie swem drukował artykuły pana Kościelskiego w sprawie polskiej i nazwał przy tej sposobności p. Kościelskiego najgorszym wrogiem niemczyzny. To tak częste piorunowanie hakaty na każdego poczciwego Polaka tak roztkliwiło polskie pismo berlińskie, że zrobiło z p. Kościelskiego niemal — męczennika idei polskiej. Przytaczamy ten ciekawy ustęp **„Dziennika berlińskiego“:**

„Jeżeli pomimo to p. Tiedemann rzucił niejako słowa klątwy na p. Kościelskiego, to należy je nam tylko tak rozumieć, iż p. K. jest szczerym Polakiem patryotą, i dla tego obawiano się jego wpływów, które, jak sądzono, mogły były pokrzyżować plany zwolenników p. Tiedemanna i podobnych jemu narodowców niemieckich.

Tak, p. K. był i pozostał wiernym synem swej polskiej uciśnionej Ojczyzny, pomimo przyjaznych stosunków ze sferami najwyższemi a nawet z samym dworem. To mu się za chlubę poczytuje i jako wzór niektórym innym magnatom polskim stawia, którzy mniej albo wcale nie pomną na swój obowiązek.

Jeżeli nie godzono się kiedyś na politykę p. K., to działo się jedynie dla tego, ponieważ ją za błędną uważano. Dobrej intencyi nikt mu nie odmawiał, złej woli nikt nie przypisywał. Błądzić może każdy, p. K. też błądził, jak się już pewnie sam przekonał, lecz działał w dobrej wierze.

To też wobec takiego sądu, jaki o p. Kościelskim wydał jeden z przywódców hakatyzmu, całe społeczeństwo polskie stanie koło niego, by mu nie jako rzekomemu najniebezpieczniejszemu przeciwnikowi Niemców, lecz jako szczeremu Polakowi wyrazić swe uznanie oraz wypowiedzieć nadzieję, że jako pan możny i bogaty będzie w rzeczywistej obronie pokrzywdzonej sprawy naszej narodowej tak występował“.

Uznajemy w panu Kościelskim bardzo uzdolnionego politycznie człowieka, nie chcemy mu w niczem ująć, przyklaskujemy z całego serca, gdy w ostatnich latach stara się o podniesienie przemysłu polskiego i fabryki zakłada — ale sądzimy, że przeczytawszy ten zdrój pochwał, sam pan Kościelski zapytać się musiał: jakiemiż pochwałami obsypać należy tych, co i piersi za ojczyznę nadstawiają, i rzetelną sumienną wytrwałą pracą całemu społeczeństwu przykładem świecą, i za przekonania swe na wszelkie prześladowania są wystawieni, jeśli mnie p. Kościelskiego, za to, że mi hakatysta jakiś właściwie komplement powiedział, tak pod niebiosa wynoszą?

Lecz pomińmy tę zabawną kwestyą, aby się przyjrzyć, jak to hakatyzm obchodzi się z tymi, którzy nie są dość silni, aby się dać tylko ku bezsilnej złości hakatystów zdaleka oglądać. Oto w **„Gazecie Grudziądzkiej“** znajdujemy taki opis rewizyi policyjnej, który swą barwnością przypomina czasy średniowiecznej sądowej procedury:

„Już ostatnia rewizya w domu p. Majerskiego, o której pisaliśmy, była niesłychaną, ale trzeba przyznać, że policya tutejsza robi postępy, bo pozwoliła sobie przy sposobności tej ostatniej rewizyi na jeszcze bardziej zdumiewające postępki. Gdy tak dalej pójdzie, to możemy się pewnego dnia jeszcze bardzo „ładnych“ rzeczy doczekać.

Nowa ta rewizya odbyła się z ogromnemi środkami ostrożności, bo nietylko pojawił się pan inspektor Wichmann w towarzystwie 2 po cywilnemu ubranych urzędników w domu „Gaz. Grudz.“, ale ustawił jeszcze po jednym stróżu bezpieczeństwa przed domem „Gaz. Grudz.“

i przed mieszkaniem pana Majerskiego. Widocznie istniała obawa, aby poszukiwanemu rękopisowi nie wyrosły nagle nogi — aby nie odleciał gdzieś daleko.

Gdy się odbywała rewizya w ekspedycyi, gdzie poszukiwano tego numeru, w którym artykuł ten był zamieszczony, nadszedł właśnie redaktor nasz p. Majerski, i chciał się udać przez ekspedycyą do redakcyi, pan inspektor kazał mu zostać w ekspedycyi, na co się pan Majerski zgodzić nie chciał, gdyż miejsce jego nie w ekspedycyi, ale w redakcyi. Wobec tego powiedział p. Wichmann: „Jeżeli ja panu powiadam, że pan ma zostać, to pan — zostanie!“ Gdy pan Majerski mimo to koniecznie chciał wyjść z ekspedycyi, przyzwał pan Wichmann policyanta w pikelhaubie i kazał pana Majerskiego przemocą przytrzymać pozbawiając w tak nieuprawniony sposób p. Majerskiego wolności“.

Powszechne uznanie wzbudziło postąpienie Koła polskiego w sprawie wyboru p. Dziembowskiego, którego ważność została zakwestyonowaną. Koło polskie, powzięło uchwałę, o której komunikuje **„Gazeta Gdańska“**:

„Mogę wam zakomunikować wiarogodny szczegół z ostatniego posiedzenia Koła w parlamencie, tyczący się wyboru posła dr. Dziembowskiego. Otóż Koło po obmówieniu dokładnem sprawy a zarazem oświadczeniu posła Dz., że pragnie porozumienia się z wyborcami, uchwaliło jednogłośnie, nie będąc kompetentnem do decyzyi w sprawie tej, że należy mu przejść nad nią do porządku dziennego. Poseł Dziembowski winien więc załatwić — co każdy mógł był przewidzieć — sprawę tę w komitetach, — no i złożyć mandat, skoroby nie dało się osięgnąć porozumienia“.

Jak trafnie i słusznie postąpiło sobie Koło polskie — tego dowód najlepszy daje sam **„Orędownik“**, który zasadniczo Kołu przygania, a jednak musiał oddać zasłużoną pochwałę w tej formie:

„Koło parlamentarne postąpiło zupełnie poprawnie, usuwając się od tej sprawy i przyznając kompentencyą do decydowania w tej sprawie jedynie komitetom, resp. wyborcom. Szkoda, że Koło zaraz takiej rezolucyi nie wydało, skoro p. dr. Dziembowski w liście swoim ogłosił, że mandat zatrzymuje za zgodą „kolegów“, i przez to dał do zrozumienia, że zatrzymuje go za zgodą Koła, bo owej dorady „kolegów“ inaczej pojmować nie było można.“

O mowie posła Czarlińskiego taką relacyą zdaje **„Dziennik Poznański“**:

„Na innem polu, nie tak pokaźnym i za serce chwytającem, ale nie mniej ważnem, odniósł także wielkie zwycięstwo poseł Leon Czarliński. Wytoczył on przed forum izby prawdziwe cacko biurokratycznej sztuczki, umiejącej na polu zabezpieczenia od kalectwa zbywać słuszne prawa polskiego interesenta formułkami, pozbawiającemi nieszczęsną ofiarę raz już prawnie przyznanej pomocy.

Jak słyszymy, cacek takich pełno jest na tem polu socyalnej pomocy; tem większą jest zasługą naszego posła, że rzecz wyprowadził przed forum publiczne i spowoduje, jak przypuszczamy, ścisłe śledztwo a zapobiegnie podobnym niedomaganiom, jeżeli nie nadużyciom.

Na ciężkie zarzuty posła Czarlińskiego nikt nic nie odpowiedział, bo odpowiedzieć nie mógł, ale się pewnie u stołu ministeryalnego przekonano, że Polacy nietylko protestować umieją, ale zaglądać do wnętrza pod wielu względami nadpsutej administracyi“.

Z godnym rzetelnego poparcia projektem zawiązywania towarzystw po wsiach wystąpił **„Kuryer Poznański“**:

„Po miastach oddawna zrozumiano potrzeby warstw pracujących i pootwierano im lokale, odpowiednie do pokrzepienia ducha i skromnej zabawy. Liczne Towarzystwa robotników są tego wyrazem. Czemużby i po wsiach nie można spodziewać się po nich rezultatów błogich w skutki odciągnięcia naszego ludu od gościńca, utrzymania sił jego i podniesienia oświaty i dobrobytu. Tu i owdzie myśl tę już wcielono w czyn i ujrzano dodatnie wyniki. Mamy dane, że w pewnej wiejskiej parafii Towarzystwo robotników, założone niespełna dwa lata temu, liczy przeszło 300 członków, ma wyćwiczone Kółko śpiewackie, urządziło w czasie swego istnienia 4 przedstawienia teatralne, 2 majówki i bardzo poważną uroczystość Mickiewiczowską. W innej małej parafii zapisało się po jednorazowem wytłomaczeniu potrzeby takiego Towarzystwa ze strony miejscowego proboszcza w dniu założenia przeszło 60-ciu samych ojców rodzin na członków“.





NA DOBIE.

Chełmce, w lutym.

Szanownej Redakcyi

w krótkich słowach chcę donieść, że ogłoszono tu już sprawozdanie z istniejącej tu „Kasy pożyczkowej — Chełmce“ za rok 1898. Ze sprawozdania tego, które było omówione na walnem zebraniu d. 29 stycznia 1899 r., a które odznacza się przejrzystem zestawieniem szczegółów, dowiadujemy się, że spółka chełmiecka rozwija się pomyślnie. W roku 1898 wpłynęło udziałoczynów za przeszło 4 tysiące, tak że obecnie suma udziałoczynów wynosi około 20 tysięcy. Już 32 członków posiada pełne udziały, wynoszące po 300 mk. Pożyczek udzielono w r. 1898 na sumę ogólną około 92 tysięcy marek.

Piękny to obrót, zwłaszcza skoro się dowiadujemy, że już od stu marek obracano pożyczkami. Chciałbym jednakże zwrócić uwagę, że wogóle wysokość pożyczek (65 weksli na 92 tysiące) jest bardzo znaczna: a także pożyczki, o jakich sprawozdanie wspomina — 9600 mk. jako pożyczki wekslowe świadczą o pewnej, może za wysoko idącej akumulacyi pożyczek w jednem ręku, czego spółki pożyczkowe, będąc instytucyami w pierwszej linii ludowemi, unikać powinny, dążąc raczej do rozlania się na szeroki, ale drobny kredyt.

Sprawozdanie zamyka z czystą nadwyżką około 2 tysięcy marek do dyspozycyi walnego zebrania.

Piękny ten rezultat przypisać należy działalności Zarządu, w skład którego wchodzili: X. Kaczmarek, p. Pluta i pan Mielcarek. Obecnie liczy spółka 151 członków. Rezultat mógłby być lepszy gdyby nie to, że ubyło 11 członków na miejsce których 19 się nowych zgłosiło. Spółkę składają niemal sami reprezentanci rolnictwa, w liczbie 100, drobnych rzemieślników itd. jest tylko 24 (którzy własności nieruchomej nie posiadają). — Po założeniu spółki rok pierwszy, 1892, liczył 51 członków z 2772 mk. kapitału. Postęp wyraźny i godzien uznania.

Na jedno tylko radbym zwrócić jeszcze uwagę: oto na to, że w ogólności nasze spółki za mało mają i za mało szukają styczności z naszem dziennikarstwem. — Nicby nie szkodziło, gdyby spółki ograniczały się jednem pismem urzędowem, lecz aby ogłaszały sprawozdania swej działalności urzędowo w kilku organach. Przyczyniłoby się to niewątpliwie do nawiązania bliższej styczności z ogółem, który spółkom nieraz bodźca potrzebnego dodać potrafi. Mam nadzieję, że odnośny wniosek na posiedzeniu walnem uchwalony będzie i z mojej strony popierać będę „Pracę“ z całych sił, jako szczery i serdeczny jej przyjaciel i wielbiciel. *M.*

* * *

Szanowny Redaktorze!

Pozwól, że i ja, znana Ci już z korespondencyi przed paru tygodniami, zgłoszę się znów do głosu i to w kwestyi — naszego przemysłu. Wprawdzie to jako nauczycielka z zawodu nie mam wiele styczności z przemysłem, ale pomimo to stosunek mój do dziatwy i święta minione nasunęły mi kilka myśli, z któremi warto się z ogółem podzielić.

Przeglądając zabawki, pytałam wszędzie, które są krajowego wyrobu i prawie wszędzie wskazywano ich niewiele. Nie mamy podobno fabryk tego rodzaju i wszystko z Niemiec sprowadzić trzeba, co potwierdzają cudzoziemskie napisy na pudełkach, cudzoziemski fałdzisty strój lalek, ustawionych jako woźnice, na siodle, kramarze w sklepie i t. p. Dla czego przemysł krajowy na tym punkcie szwankuje, gdy zapotrzebowania z każdym wzmagające się rokiem dowodzą, że to gałęź pracy zyskowna?

W wielu składach widziałam śliczne zabawki z drzewa, kunsztowne magle różnych systemów, całe komplety przyborów do prania, nawet z wyżdżymaczkami. Już to chyba są nasze swojskie pomyślałam. Gdzie tam, i to był produkt sprowadzony. A przecież drzewa u nas dotąd nie braknie, przecież mamy zdolnych rzemieślników. Dla czego więc nie znajdzie się rzemieślnik, któryby przygotował zabawki, mogące zadowolić wybredniejszą gustem publiczność? Zresztą po przytułkach, po szkołach rzemiosł, młodzi uczniowie mogliby przygotowywać owe zabawki.

Sądziłam, że nasi składnicy, porozumiawszy się między sobą, zamawiają w fabrykach obcych znaczniejsze partye zabawek, przedstawiając swoje pomysły, dając modele i żądając, by się do nich fabryka stosowała. Bynajmniej. Każdy ze składników działa na własną rękę, o porozumieniu się nikt nie myśli. Fabryka wytwarza różne nowości z dziedziny cacek, uwzględnia swoje własne miejscowe potrzeby i daje nam produkt gotowy, ani dbając o to, jak go przyj-



Wspomnienie z Kissingen.

(Dotąd niedrukowane.)

Powiedział mi znajomy, że są dwie królewny
Niemieckie w Kissingenie. — Wśród dnia byłem pewny,
Żem je spotkał, więc patrzę co mam w oczach siły.
Lecz o cudo! Królewny po polsku mówiły.
Jednak zdaniam nie zmienił — byłem tylko pewny,
Że prócz Niemek, zjechały dwie nasze królewny.

Henryk Sienkiewicz.

Odpowiedź.

Kissingen piękne miejsce, cały kraj uroczy —
Gdzie wypływa z pod ziemi pandur i rakoczy —
Miałyśmy wielkie szczęście — co się rzadko zdarzy,
Poznałyśmy tam Króla — ojczystych pisarzy.

30 Lipca 1889.

Na pamiątkę znajomości zawartej w Kissingen.

Raz mi (w Kissingen właśnie) przyszła myśl do głowy,
Którą krótkiemi tutaj — wypowiadam słowy.
Zwykłą rzeczy koleją, zwykłą zdarzeń siłą
Wiele się w Wielkopolsce z dawnych lat zmieniło,
A wiele jeszcze zmienić trzeba pracowicie,
Żeby się wrogom nie dać — i zachować życie.
W jednym tylko kierunku nie jestem za zmianą,
Niech nam Wielkopolanki — tak jak są zostaną!

Henryk Sienkiewicz.

Nadesłane 2. 2. 99.

---

miemy. I dla tego też mamy gry z napisem „Der Jäger", mamy wioski do ustawiania, w których wszystko, od domu do płotu, obco wygląda, mamy lalki w szlafmycach itp.

A publiczność cóż robi? Publiczność, narzeka, gani i ulżywszy w ten sposób swemu sercu, spieszy kupować pudełka, w których napis „Der Jäger" malowany jaskrawemi farbami, tak zachęcająco wygląda.

Handel zabawkami wzmógł się bardzo w ostatnich czasach, składy aż kipią od cacek, kupujący nie wiedzą co wybierać; niestety jednak to wszystko z małym wyjątkiem nie naszych rąk praca!...

Z poważaniem

S. K

* * *

Bytom.

Szanowna Redakcyo!

Chcę kilka uwag pomieścić na Twych łamach w sprawie przemysłu*). Często czytujemy piękne artykuły dla kupców o popieraniu się nawzajem, ale ja myślę, że nasze kupiectwo, jeśli go publiczność nie popiera, to jest jak sternik stojący u steru, bez wioślarza. Cóż on ma kierować, z kim się łączyć, jeśli brak okrętowi siły i ruchu? Tu nie tyle kupcy nasi winni, że handel nasz mało się rozwija, ile lud sam, co ich nie popiera. Bo siła jest w ludzie,

Ale dlaczego my tej siły nie używamy, choć ją posiadamy? Doprawdy to jakby bielmem oczy nam kto przesłonił i na światło patrzeć nie dał. Co prawda jest to już wadą naszych przemysłowców, że się mało ogłaszają, ale to jeszcze nie tak źle, jak postępowanie takiego jednego i dziesiątego, co to się drze z pełnego gardła, że jest Polakiem, a Niemców popiera od kołyski aż do grobu; jak mu Niemiec kołyskę zrobił, tak też i w trumnie od Niemca kości złoży i nie wzdrygnie się nawet, że życie jego to poprostu niespłacony dług ojczyźnie, którego i dzieci nie spłacą, jeśli Polakami ich być nie nauczył.

Pewien podróżnik hiszpański powiada, że są między Baskami ludzie niezaradni, których tam „Olejaderos" zowią. Kiedy im się wóz wywróci, będą go obchodzili, biadali i wyrzekali, wołając oloja! oloja! a nie dołożą ani rąk, ani starania, by wóz napowrót postawić. Takich Olojaderów, co wyrzekają w trudnem położeniu i myślą, że im się samo co zrobi, możemy gęsto i na każdym znaleźć u nas kroku. Ci nie wiedzą. co jest czyn; nie wiedzą, albo nie chcą wiedzieć, że się nic bez czynu nie stanie. Jakkolwiek wszystkie nasze pisma zarówno miejscowe, jak i zakordonowe przepełnione są utyskiwaniami na Niemców, złorzeczeniami im, dowodami ich brutalstwa i barbarzyństwa, groźbami zerwania z nimi wszelkich stosunków i t. p., to przecież w praktyce nie robi się nic, ale to nic, dla otrząśnięcia się z więzów teutońskich, co gorsza — ustawicznie wspieramy ich handel i przemysł. Czyż wiecznie tandeta niemiecka, dla tego że zagraniczna, imponować nam będzie? Czyż rzeczywiście mamy zostać owymi olejaderos'ami, ustawicznie biadającymi, a nie mogącymi się zdobyć na to, aby popierać i podnosić przemysł i handel krajowy?

Dziś ze sprawą podniesienia handlu i przemysłu naszego związany jest cały postęp społeczny. Dziś na stanie kupieckim ciąży obowiązek wytwarzania inteligentnych sił społeczeństwu, więc niechajże się też słusznie cieszy rzetelnem poparciem społeczeństwa!

Z uszanowaniem

Przyjaciel przemysłu rodzimego.

* * *

Beaulieu, w Lutym.

Przed kilku dniami zapytał mnie dyrektor hotelu, czy nie życzę sobie jakiego polskiego pisma. Z odpowiedzią ani sekundy w ambarasie nie byłem. Na znaczny ekspens pieniężny nie chcąc hotelisty narażać poprosiłem o tygodnik „Praca", wychodzący w Poznaniu.

Lecz nie dlatego tylko wybrałem „Pracę" że tania, lecz że dążności jej uważam za szlachetne i dobre.

Pismo, które na gruncie narodowym polskim stoi, które nie żyje z jadu niezgody i nienawiści, zasługuje na poparcie, a tym bardziej zasługuje „Praca", gdyż z niej widzimy, że w społeczeństwie naszem są siły, nie wielkie wprawdzie, ale dość liczne, siły, które, gdy sposobność będą miały więcej pisywać, więcej się kształcić i więcej myśleć, co raz będą

*) Górny Ślązk nie próżnuje!
Przyp. Redakcyi „Pracy".

lepsze, doskonalsze i korzyść z nich dodatniejszą i większą stać się musi.

„Pracę“ uważam za bardzo dobry tygodnik, życzyłbym jej 30,000 abonentów, a jednak chciałbym czegoś więcej.

Nazwij myśl utopią, lecz czemu czasami nie marzyć, gdy się żyje w krainie pięknej jak marzenie?

Chciałbym, nie mniej nie więcej, jak żeby pod każdym zaborem był obok mniej lub więcej innych gazet jeden dziennik polski, któryby specyalnie zajmował się sprawami pojedyńczego zaboru a w *dokładnem* streszczeniu wszystko to, co pod innymi zaborami się dzieje podawał.

Dzienniki takie — bo trzech potrzeba — stać powinny na gruncie narodowym i bezparcyalnym a redagowanymi być przez najrozumniejszych synów narodu; wszystkie zdania od skrajno konserwatywnych do socyalistycznych powinny w nich znaleźć gościnność a współpracownikami i czytelnikami mogliby być wszyscy członkowie naszego społeczeństwa byleby piszący oduczyli się używania słów dla większości narodu niezrozumiałych i zbyt górnolotnego stylu, tak śmiesznego nieraz u naszych domorodnych Słowackich, zapominających że „Quod licet Jovi...“

Byłoby inne czucie między rozdzielonymi braćmi jednej Ojczyzny; lecz kończę; czuję że marzyć lepiej bez pomocy papieru i atramentu, więc robię kropkę. *L. B.*



Z kraju i obczyzny.

Słynny muzyk polski, Paderewski, przebywał niedawno w Warszawie. Ostatni koncert jego przerodził się w podniosłą demonstracyę. Gdy artysta po przegraniu sonaty „Appassionata“ Beethoveen'a uderzył pierwsze akordy Chopinowskiego „Marsza żałobnego“, publiczność, zapełpełniająca przyćmioną salę (Paderewski bowiem nie znosi wiele światła), jakby jedną tknięta myślą, powstała nagle ze swych miejsc, a gdy skończył, zamiast oklasków rozległ się taki ogólny płacz na sali, jakby się ludziom serca rwały na strzępy. On sam oparł czoło na pulpit fortepianu i płakał, jak dziecko. W jednej chwili zrozumieli się wszyscy.

Za sprawą Paderewskiego powstaje w Warszawie Towarzystwo filharmoniczne. Orkiestrą dyrygować ma Młynarski; dyrektorem Filharmonii ma być p. Aleksander Rajchman. Towarzystwo, obok hotelu „Bristol“ zbuduje wielką salę koncertową na 2000 osób.

Czesi w Krakowie. Jedyne czeskie stowarzyszenie w Krakowie „Česka Beseda“ liczy ogółem 82 członków. Przewodniczącym ponownie wybrano Ferdynanda Hoffmana, którego też walne zebranie, w uznaniu zasług, zamianowało członkiem honorowym. Zastępcą prezesa jest F. Dostalik. Staraniem „Besedy“ w marcu r. b. odbyć się ma uroczysty wieczór na cześć Mickiewicza, z udziałem literatów czeskich, którzy określą znaczenie i wpływ naszego poety na rozwój literatury czeskiej.

Przemysł drzewny polski na wystawie paryskiej w. r. 1900. Dyrektorowi szkoły zawodowej dla przemysłu drzewnego w Zakopanem, p. Edgarowi Kovatsowi, powierzono zarządzenie wewnętrzne działu galicyjskiego przemysłu artystycznego na przyszłorocznej wystawie w Paryżu. Oprócz okazów galicyjskiego przemysłu artystycznego, w dziale tym będą również wyroby włościan z drzewa, gliny, dalej tkaniny, hafty, kilimki i wogóle wyroby zakopańskie i huculskie, które nieraz już na wystawach pochlebne uzyskały odznaczenie.

Polacy w Paryżu. Wśród wojskowych, odznaczonych krzyżem oficerskim legii honorowej z okazyi Nowego Roku, znajdujemy nazwisko p. Walewskiego, dowódcy batalionu w 131 pułku piechoty. Rodak nasz, p. Bronisław Kozakiewicz, publicysta i sekretarz hr. de Chambrun, założyciela „Musée social“, otrzymał tytuł i oznaki orderowe „oficera Akademii“. Jest to order ministeryum oświaty. Dwaj wychowańcy szkoły polskiej batignolskiej, Grzegorz Kosiłowski i Tadeusz Waryński, zdali przed profesorami Sorbony egzamin dojrzałości (t. zw. „baccalaureat“). Dziennik paryski Le Journal podaje sylwetkę malarza Rosena, przez niego samego rysowaną, wraz z krótką biografią. Były wojskowy, major Myszkowski, obecnie stały współpracownik pisma Soir, jednego z najgwałtowniejszych organów antidreyfusowskich, wyzwał na pojedynek Józefa Reinacha za obrażający artykuł w Siècle'u.

Wieści z za Oceanem. Ambasadorem austro-węgierskim w Rio Janeiro został mianowany Polak p. Kuczyński, dotychczasowy minister-rejent w Czarnogórze. Nominacya ta ma o tyle ważne znaczenie, że licznie osiedli Polacy w Południowej Brazylii znajdą w nim gorliwego opiekuna.

Z Chicago piszą nam: We wszystkich miastach, zamieszkałych przez Polaków, święciliśmy też w sposób uroczysty setną rocznicę urodzin Adama Mickiewicza. W wigilię Bożego Narodzenia odbyło się w Chicago, w kościele św. Wojciecha solenne nabożeństwo za duszę Mickiewicza, odprawił je ks. Radziejewski, wszystkie nasze towarzystwa wystąpiły w paradzie „in corpore“. Cała dzielnica polska była rzęsiście iluminowana i przystrojona w chorągwie. W hali miejscowej zebrały się tłumy publiczności. Obchód zagaił prezes p. Bobowski, następnie wygłoszono mowy: polską, czeską i angielską, wszystkie pełne czci dla naszego nieśmiertelnego wieszcza. Mowa czeska p. Maticjki tchnęła gorącą sympatyą dla Polaków przyjęto ją też entuzyastycznymi oklaskami i okrzykami „Na zdar“!

Na zakończenie poświęcę słów kilka nowo wybudowanemu u nas kościołowi pod wezwaniem św. Jana Kantego. W niedzielę 11 zm. odbyła się uroczystość poświęcenia tej okazałej świątyni. Na obchód przybyło wiele tysięcy Polaków.

Uroczystość rozpoczął ks. asystent Matuszewski, który około dźwignięcia tego kościoła nie małe położył zasługi. Mówca zaznaczył, że to wielkie dzieło jest chlubą Polaków amerykańskich i wzywał wiernych, aby byli zawsze gorliwymi dla służby Bożej. O godzinie 4 po południu przybył ks. arcybiskup Ireland, przeprowadzony przez szpaler, utworzony przez 5000 członków towarzystw polskich. Następnie, zwyczajem tutejszym, wszystkie towarzystwa przedefilowały przez nabity wiernymi kościół, co zajęło godzinę czasu; poczem arcypasterz, otoczony licznem duchowieństwem, poświęcił kościół i przemówił do zgromadzonych, w końcu udzielił im błogosławieństwa i pobłogosławił Najśw. Sakramentem. W samym kościele, przedstawiającym się wspaniale, zebrało się około 10000 wiernych. Łzy stanęły w oczach książęcia Kościoła, gdy z piersi tłumów wyrwały się potężne tony nieznanej mu pieśni: „Kto się w opiekę“! Kościół zewnętrzną formą przypomina styl kościołów jezuickich, całość wygląda wspaniale, na szczególniejszą uwagę zasługuje ambona, wykonana w pracowni braci Wosiów. Świątynia jest dziełem architekta, A. Druidinga, który potrafił połączyć piękną, zewnętrzną formę z duchem prawdziwie religijnym. Wrażenie uroczystości poświęcenia pozostanie na długo w pamięci uczestników tego pięknego, katolickiego obchodu.

Z czytelnikami „Pracy“ z tej strony oceanu, w „starym kraju“ dzielimy się wiadomością, że liczba czytelników naszych w Ameryce, a zwłaszcza w Chicago, od nowego roku się podwoiła.

Z.

Cześć polskiej pieśni!

Gdy już wszystko myśl mą strudzi:
I zabiegi i gwar ludzi,
I obłudy ślad;
Gdy chłód życia krew mą ziębi,
A żal w serce się zagłębi
I zwątpienia jad;

Wtedy jeden urok miły
Wesprze me zachwiane siły,
Zetrze śmierci pleśń,
I znów serce me otworzy
Dla ludzkości — urok Boży,
Ten urok — to pieśń.

W niej zobaczę wdzięczne kwiatki:
Nad kolebką uśmiech matki
I dziecinny wiek.
Tam trud ojca — wychowanie,
Pacholęce me igranie
I mej wiosny bieg.

I radości chwile liczne,
Gdy myśl, ziarno me pszeniczne,
Rosła w pełny kłos,
Kiedy z wiedzą szła w zażyłość,
Lub gdy błysła pierwsza miłość,
Zadrżał serca głos.

Tam dziewczyny wzrok czarowny,
I mych braci strój szykowny,
I zapału żar;
Brzęk puhara, wrzawa wojny
I modlitwy hymn dostojny,
Czci i chwały czar.

W pieśni płyną wspomnień zdroje.
Tam pradziady widzę swoje,
Przez dziejowy szlak;
Syny święcą ojców kości,
A na kresach tej przeszłości,
Lśni się krzyża znak.

W pieśni szumi wieków praca,
Trudu koło się obraca,

Bije życia młot;
Robotników mkną się cienie.
Z pokolenia w pokolenie
Niosąc znój i pot.

A choć nieraz i łza tryśnie,
I na grobach wzrok zabłyśnie,
Zagrzmi burzy huk...
Pieśni! zawsze w twojej nucie
Tętni serce, drga uczucie,
Tchnie miłość i Bóg.

Więc ci chwała, pieśni! chwała!
Czyś doniosła i wspaniała
Jako Tatrów grzbiet,
Czy natchniony wieszcz cię głosi.
Czy cię echo wsi unosi
I pasterski flet;

Czyli w tobie kraj jaśnieje
Przez genialną epopeję,
Ku narodów czci;
Czy z podania czerpiesz wnętrzy,
Czy liryczny ton goretszy
Z twego łona brzmi;

Czy zawodzisz sierot płaczem,
Czyś z żniwcami lub z oraczem,
By im słodzić trud;
Czy po Wiśle płyniesz łódką,
Czy do czynu brzmisz pobudką,
Czy zachwycasz gród;

Czy w poważne świątyń psalmy,
W marsze bojów. w ofiar palmy
Lejesz ducha treść;
Czyś jest rosą w wiosny ranki,
Czy uśmiechem w snach kochanki,
Pieśni! tobie cześć!...

E. Z.





Śp. Juliusz Kossak.

Na horyzoncie sztuki polskiej zagasło wielkie światło. Nestor spółczesnego malarstwa polskiego, najpopularniejsza w dziedzinie sztuki polskiej postać. na całym obszarze ziem polskich, Juliusz Kossak, zgasł w Krakowie.

Choć ta bolesna wiadomość o zgonie znakomitego artysty nie przychodzi niespodziewanie, choć dobiegające nas w ostatnich dniach wieści o jego ciężkiej chorobie przygotowywały zwolna ogół do katastrofy, to jednak fakt bolesny szerokiem a żałobnem echem odbije się w najdalszych zakątkach. Ze śmiercią Juliusza Kossaka znika bowiem z widowni ostatnie ognisko, jakie łączyło spółczesną sztukę polską z wielkim okresem pierwszego jej rozkwitu przed r. 1860, schodzi do grobu ostatni przedstawiciel epoki, która poprzedzała świetny rozwój malarstwa polskiego, która stworzyła polską sztukę narodową, niedoścignioną w produkcyi działalnością swą wywarła olbrzymi wpływ na kilka pokoleń malarzy polskich i zdobyła tytuł do wielkiej zasługi i wdzięcznej pamięci narodu.

Lat temu dziewięć wdzięczne społeczeństwo polskie uczciło załugi Juliusza Kossaka obchodem jubileuszowym, który dał ogółowi sposobność wyrażenia uznania i wdzięczności dla twórcy tylu arcydzieł. W hołdzie dla wielkiego artysty zjednoczyły się wówczas wszystkie sfery społeczne. wszystkie dzielnice kraju, przedstawiciele wszystkich zawodów i stanów. Był wówczas artysta nasz w pełni jeszcze sił i zasobów twórczych. talent jego jaśniał całym blaskiem siły i zachował świeżość i żywotność swą aż do ostatnich czasów. póki ciężka choroba nie wytrąciła artyście pędzla z ręki, a jego samego nie powaliła na łoże. z którego powstać nie było mu już przeznaczone.

Wszystkim. co z nim w ostatnich latach mieli sposobność spotykać się, nie zatrze się w pamięci ta postać niezapomniana. o pięknych polskich rysach, pełna zdrowia i siły, pełna pogody umysłu. humoru i serdecznej życzliwości. Biło od niego ciepło czasów nie dzisiejszych, udzielał się duch jakiś staropolski. który wszystkich ożywiał i rozgrzewał, skupiał i jednoczył. Zdawało się. że siły jego niespożyte na długie lata jeszcze mu starczą. Sam na ostatniem wigilijnem zebraniu w Kole literackiem obiecywał sobie i uczestnikom łamać się opłatkiem w roku przyszłym. Niestety już wówczas trawić go poczęła choroba. której smutnego wyniku nikt nie przypuszczał.

Juliusz Kossak urodził się w r. 1824 w Wiśniczu w Galicyi. gdzie ojciec jego był urzędnikiem. Pierwsze lata życia płynęły mu w otoczeniu starych ruin zamku Kmitów i Lubomirskich. których widok naprowadzał mu na pamięć czasy rycerskiej przeszłości narodu i rzuciły już niezawodnie w duszę przyszłego artysty ziarno tej miłości rzeczy ojczystych. która tak bujnym plonem zapisać się miała na kartach polskiej sztuki. Początkowo rodzice Juliusza mieli zamiar skierować młodzieńca na drogę karyery urzędniczej. W tym celu po ukończeniu szkół młody Kossak zapisał się na wydział prawny uniwersytetu lwowskiego. atoli popęd i zamiłowanie do malarstwa spowodowały go do porzucenia prawa, a oddania się malarstwu, w którem go kształcił wyborny naówczas profesor Jan Maszkowski. Lata od r. 1840 do 1844 upłynęły mu wtedy na studyach i pracach przygotowawczych, w których wzorem świeciła mu świetna naówczas działalność Piotra Michałowskiego, Orłowskiego i Suchodolskiego. W miarę dojrzewania twórczości szybko rosnąć poczęła sława Kossaka. Dzięki poparciu hr. Kazimierza Dzieduszyckiego i innych mecenasów Kossak mógł odtąd bez trudu poświęcić się sztuce. Jako dwudziestoletni młodzieniec staje się ulubieńcem dworów szlacheckich. rozrywanym dla wielkiego talentu i niezmiernie sympatycznego charakteru i rzadkich zalet towarzyskich. Sceny ze zjazdów, polowań. epizody historycznej przeszłości szlacheckiej sypią się odtąd młodemu artyście, jak z rękawa — rozchwytywane chciwie, a sława rozbiega w kraju coraz szerszemi kręgi.

Artysta zwiedza kolejno kraj, oddawany sobie z rąk do rąk przez dwory szlacheckie, których stał się ulubieńcem. Dzięki pomocy takich mecenasów sztuki, jak hr. Juliusz Dzieduszycki, Rozwadowski, Gwalbert, Pawlikowski i Wł. hr. Branicki odbywa liczne podróże artystyczne to do Włoch, to do Petersburga, do Monachium i Paryża, gdzie się zatrzymuje na lat sześć i staje się ulubionym uczniem Horacego Verneta.

Wpływ najgłośniejszego współczesnego batalisty francuskiego zaznacza się najwybitniej w karyerze artystycznej Kossaka i staje się jednym z najznamienniejszych czynników jego twórczości.

W roku 1862 powraca Kossak do kraju i obejmuje kierunek artystyczny „Tygodnika Ilustrowanego“. Była to doba najświetniejszego rozwoju polskiej ilustracyi i drzeworytnictwa. — Kossak ołówkiem swym wciela się w myśl pieśniarzy i beletrystów i stwarza ilustratorstwo polskie. Z tego okresu datuje się kilkaset kompozycyi, które stanowią świetny dorobek w dziale kwitnącego za jego wpływem ilustratorstwa. Sceny. rodzajowe obrazki. sceny z jarmarków i polowań, typy wiejskie i dworskie. zagrody chłopskie i wesela, wszystkie komponowane z brawurą i nieodzownym koniem. takim. jakim go stworzył Kossak. tym koniem, który był chlubą swego mistrza, a pośrednio dumą malarstwa polskiego — wszystko przewija się jak w kalejdoskopie w cyklu pomysłów artysty. Poza tem ilustruje arcydzieła poezyi polskiej, umiłowawszy przedewszystkiem Pola. Mickiewicza i Wacława Potockiego. Komu nieznane są prześliczne ilustracye „Roku Myśliwca“. „Pieśni o ziemi naszej“, „Pana Tadeusza“, „Wojny Chocimkiej“. Któż z doby owej nie pamięta „Stada hetmańskiego, wyprowadzonego przez Mohorta“?

Rok 1868 sprowadza Kossaka do Krakowa, dokąd artysta przybywa na stały pobyt i w dworku swym, na placu Latarnia spędza na łonie rodziny, w otoczeniu licznych wielbicieli i przyjaciół ostatni okres swego życia i działalności.

Twórczość i płodność jego nie ustaje na chwilę. Przez tych trzydzieści lat wzbogaca dorobek swój cyklem akwarel. malowanych na zamówienie możnych rodzin jak: Tarłów, Gnieworzów, Fredrów, częścią kompozycyi historycznych dowolnego tematu. Ilustruje dzieła. a dla odpoczynku maluje obrazy olejne. Wszystko to nacechowane duchem polskim, przesiąknięte pierwiastkiem rdzennie polskim. owiane junacką staropolską fantazyą, której nikt tak, jak on, oddać nie umiał. W ulubionym przez się rodzaju akwareli pozostał pierwszym i niedościgniony i utrwalił na silnych podstawach stanowisko swe w historyi malarstwa polskiego.

Jako człowiek, ś. p. Juliusz Kossak należał do najsympatyczniejszych postaci Krakowa.

Był to typ jeden z ostatnich, jakiemi miasto Kraków chlubić się mogło. Jako założyciel i długoletni prezes „Koła artystyczno-literackiego“ ma zasługę, że skupiał około swej osoby żywioły artystyczne i literackie i był duszą i pomocą wszelkiej inicyatywie. Jako artysta na wskroś narodowy, pozostanie on we wdzięcznej pamięci ogółu. który nazwisko jego zapisze w szeregu swoich chlub narodowych.

S. J.

Chcesz?

Chcesz wytrwać? — zwyciężyć?
Chcesz przyszłość mieć złotą?
O! trzeba ci siły zjednoczyć — naprężyć,
A ducha oświecić i wiarą i cnotą,
O! trzeba ci wiedzy i pracy bez końca,
A wtedy nadejdzie świt szczęścia jak
[słońca.

Chcesz złamać bezprawie?
Chcesz ciszy — pokoju?
O! trzeba ci orać — siać w tej czystej
[sprawie,
Nie licząc ofiar, trudu, ciężkiego znoju,
O! trzeba wytrwania jako dąb silnego,
A przyjdzie dzień święty, pokoju szczę-
[snego.

Chcesz światło rozniecić?
Chcesz prawdy oddechu?...
O! trzeba ci wzorem przed narodem
[świecić,
Nie znając spoczynku, radości i śmiechu,
Bo w twardej obroży — kto przyszłość
[kolebie
Niech żyjąc na ziemi — żyje duchem
[w niebie!

Jadwiga S.

5 lutego 1899 r.

Ks. dr. August Rosentreter,

Biskup Chełmiński.

Dyecezya Chełmińska, w Zachodnich Prusach, osierocona w początkach Kwietnia 1898 r. przez śmierć biskupa dr. Leona Rednera, otrzymała nowego duszpasterza w osobie dr. Augusta Rosentretera. Tenże, aż dotąd regens i profesor moralnej teologii w duchownem seminaryum w Pelplinie, ur. 13 Stycznia 1844 r. w małej wiosce w pow. Chojnickim, pochodzi z westfalskiej rodziny, przybyłej do tak zwanych Koszneidrów pod Chojnicami. Ojciec dr. Rosentretera, zmarły r. 1895, był poważanym i w dalekich powiatach znanym gospodarzem. Ze swoich synów trzech przeznaczył do stanu duchownego, to jest: Augusta, nowoobranego biskupa, Alberta, proboszcza w Radawnicu i Ignacego, proboszcza w Jeżewie. Dr. Rosentreter uczęszczał do gimnazyum w Chojnicach i złożył tamże na Wielkanoc r. 1861, w 17 roku życia, świetny egzamin dojrzałości. Studya teologiczne rozpoczął w pelplińskiem seminaryum duchownem, następnie kontynuował je na uniwersytecie w Bonn, a dokończył na akademii monasterskiej, gdzie uzyskał „z najwyższem odznaczeniem“, stopień licencyata. Znajomość polskiego języka przyswoił sobie dr. Rosentreter w pelplińskiem seminaryum duchownem. 12 Marca 1870 r. otrzymał święcenia kapłańskie. Krótki tylko czas był dr. Rosentreter wikaryuszem w Nowem w Zachodnich Prusach, a następnie przy kościele Brygitek w Gdańsku. W r. 1871 został profesorem egzegezy (naukowy wykład biblii) starego i nowego testamentu w pelplińskiem seminaryum duchownem. Na tem stanowisku pozostawał aż do r. 1875, to jest aż do zamknięcia seminaryum, wskutek walki kulturnej. Poczem udał się dr. Rosentreter do Rzymu, studyował tamże starochrześciańskie malarstwo, ztamtąd przedsięwziął podróż do Palestyny, po powrocie z której został powołany przez dyrektora seminaryum nauczycielskiego w Kościerzynie (Zach. Pr.), gdzie objął stanowisko i pozostawał na niem aż do r. 1887. Gdy w r. 1887 nastąpiło otworzenie seminaryum duchownego w Pelplinie, Rosentreter został mianowany równocześnie kanonikiem przy katedralnej kapitule w Chełmnie, jak i regensem duchownego seminaryum. Roku 1896 udzielił mu teologiczny fakultet w Monasterze honorowy tytuł doktora. Profesor dr. Rosentreter pozo-



Ks. Dr. August Rosentreter,
Biskup Chełmiński.

stawał czynnym w pelplińskiem seminaryum 11 lat. Zarówno cenionym jest jako duchowny. Jego dawniejsi współuczniowie z gimnazyum, do dziś dnia jeszcze sławią jego zadziwiającą pamięć i nadzwyczajną pojętność. Jako biegły mówca kościelny, tak w niemieckim, jak i polskim języku — tym ostatnim włada jak Polak — odznaczył się dr. Rosentreter, zaraz od początku duchownego zawodu. Na polu literackiem dał się poznać jako wybitny współpracownik dzieła „Wetzer und Wette's Kirchenlexikon.“

Dyecezya chełmińska, której zwierzchnikiem został dr. Rosentreter, obejmuje 470 kwadratowych mil i rozciąga się nietylko przez większą część prowincyi Zachodnich Prus, ale i przez niektóre powiaty Wschodnich Prus, Poznańskiego i Pomorza. Dyecezya liczy 253 proboszczy, 385 księży i okrągłe 600,000 dusz. Siedziba biskupa jest dawniejsze opactwo Cystersów w Pelplinie, którego kościół r. 1824 po przeniesieniu kapituły z Chełmna do Pelplina, został wywyższony na kościół katedralny. *S.*



O nie płacz nie!!...

O nie płacz nie — choć tak dziś źle,
Choć tak kajdany gniotą okrutnie...
Nadejdzie czas — Bóg wesprze nas,
Nie będzie wtedy tak jak dziś smutnie.
I szczęścia pieśń zadzwoni w świat
Wolności złoty rozkwitnie kwiat
I zniknie żal — popłynie w dal
Wśród czasu fal,
Więc nie płacz nie,
Choć tak dziś źle
Tak źle!!

O nie płacz nie!... w niedoli mgle
Niech cię nadziei kolebie nuta — —
Rozpaczy jęk i kajdan dźwięk
To bez przyszłości noc już rozsnuta,
A nam potrzeba z ufnością żyć,
Wiary — nadziei wciąż nektar pić
I wznosić wzrok — wieść naprzód krok,
Aż zniknie mrok...
Więc nie płacz nie
W zwątpienia mgle
Tak źle!!...

O nie płacz nie!... Bóg krzyże szle,
Lecz nam trza mężnie znosić cierpienia,
To czas jest prób — nie śmierci grób,
Więc nie dość jęku — lub łez wspomnienia.
W czynach się trzeba odrodzić nam —
W cnotach zmyć przeszłość z swawoli plam
Nie szczędzić sił, by naród żył
I wiedzę pił,
Więc nie płacz nie...
Bóg krzyże szle...
Ah! szle!!..

Jadwiga S.

7 lutego 1899 r.

Razem z życiem!

(Wspomnienie z roku 1863.)

„Pamiętaj, żeś Polka,
„Że to za kraj walka,
„Ojczyzna krwią zlana,
„To twoja rywalka!“

— Hej! kolego!... ty śpiewasz?...

— A cóż?... wszak mi *trwoga* na ramieniu siadła... Mogą sobie Moskale jeszcze lepiej hulać w około, jeszcze więcej armat na nas — prawie bezbronnych sprowadzać, ja się nie ulęknę...

— I ja trwogi nie znam, ale — też nie mam wesołości... Jak tu śpiewać — jak?... rozbili nas — otoczyli w lesie — ani się ruszyć, ani żywności, ani naboju — oj bracie!... źle!...

— Źle ci pieszczoszku? śmiejąc się powiada młody, dzielny powstaniec Kolasiński Władysław... boś ty przyzwyczajony do dostatku, ale my — twardzi na takie niewygody — zjemy nie zjemy, śpimy nie śpimy, byle choć jednego psiawiarę z nóg obalić, to już humor rośnie...

Jaskólski Bronisław zwiesił głowę. Rana mu w ramieniu dokucza — głód pali — a i smutek pożera myśl jego.

Śmieją się koledzy, że wypieszczony — o tak!... jedynak — matka go tylko jednego przed oczyma miała — kolebała — pieściła, a przecież — on na odgłos Ojczyzny wołającej poszedł.

Las szumi cicho. Ognisko zagasło — gdzieś z za gałęzi przedzierają się ostatnie błyski zachodzącego słońca — mróz dokucza coraz więcej.

W lesie gromadka powstańców z rozbitego oddziału Trauguta kryje się już w Pińskim powiecie kilka dni, a w około Moskale jak siecią pajęczą osnuli się tak, że trudno się przedostać.

Kolasiński znów zaczął śpiewać, bo mu głód dokuczał, więc go chciał pieśnią zabić. Aż Traugut wstaje z pnia i powiada:

— Domanowski pójdziesz?

Młody doktór, który stał oparty o drzewo zbliżył się do dowódzcy, patrząc ciekawie.

— Pójdziesz?... pyta Traugut.
— Wszędzie gdzie naczelnik rozkaże!
— Weź pięciu ludzi — ty szósty — przedrzejcie się przez straże — przez las — tu gdzieś będzie wieś niedaleko, postaracie się o żywność i naboje.
— Dobrze!... idę w tej chwili...
Zwrócił się do powstańców i pyta:
— Kto ze mną?
Porwali się prawie wszyscy z ochotą.
Domanowski wybrał silniejszych pięciu — ruszył z nimi w ciemny bór.
A przy ognisku została reszta rannych — zmęczonych, zgłodzonych, a Kolasiński przechadzając się i nadsłuchując od czasu do czasu nucił wesoło:

„Co będziemy w więzach gnić?
Za broń chwycić bić i bić!
Lepiej zginąć w mężnym boju
Jak śnić, marzyć w dniach pokoju!“

Wioska Kołodno rozłożona wśród drzew, przyświecała błyskiem świateł migocących przez szyby okienek chat.
Było to z wieczora.
We wsi cicho — spokojnie.
Garstka naszych powstańców z radością powitawszy wioskę, spieszy co tchu do dworu, bo trzebaby wracać jak najprędzej, aby ujść sideł moskiewskich.
Domanowski na czele, przedziera się przez krzewy, przez zaspy śniegu — a serce mu bije jak młotem, w głowie mu się mąci... Toć on jest tu — tu gdzie jego marzenie, jego szczęście, jego anioł promienny... toż to wioska państwa Skiermuntów — ah!... Wandzia jego tu — tu!... Powita ją, obaczy — usłyszy jej głos... co za szczęście! Ileż on sił zaczerpnie do dalszej walki, ileż mu męstwa przybędzie...
On jej nie widział tak dawno — gdy na wieść powstania pobiegł w szeregi, ani miał czas myśleć o niej — pożegnał ją cichem westchnieniem i ani spodziewał się jej rychło obaczyć, aż tu poznaje te same lipy, te same klony, ten dwór...
Spieszą — wpadają na ganek, otrzepują śnieg — wchodzą do dworu.

W oświetlonym jasno pokoju siedziały dwie panienki. Jedna przy kołowrotku, druga z książką.
Gdy drzwi otwarły się — Wandzia spojrzała i z krzykiem radości pobiegła ku przybyłym.
— Pan Józef!... Tu?... zkąd?...
Panna Basia z niemniejszym podziwem powitała gości, i pobiegła do rodziców, wołając, iż powstańcy przybyli.
Zbiegli się państwo Skiermuntowie, domownicy, witano drogich gości, nie wiedząc czem ich uraczyć, czem ucieszyć.
Pan Józef Domanowski oczarowany widokiem drogiej swej Wandzi, nie zapomina z czem przyszedł, więc też powiada żywo do gospodarza:
— Ojcze! panie!... przyszliśmy tu z niemałym trudem — ale i wracać zaraz musimy — w lesie nasz oddział, od trzech dni nic nie mamy do pożywienia — żadnych ładunków, a tu Moskale za nami trapią i wokoło nas śledzą.
— Biedacy!... rzekła pani Skiermuntowa, zaraz zabierzemy się do spiżarni, a tymczasem wy posilcie się, panny dajcie wina, szynki, wódki.
Co tu radości, co zamieszania, co bieganiny!... Co najlepszego w spiżarce to się wynosi, pakuje, parobcy z dworu już stoją gotowi, by zabrać ciężary — pan Skiermunt resztki nabojów wydobywa, a Domanowski niby je i pije, a właściwie tylko patrzy na swą Wandzie kochaną i jej rączkę do ust ciśnie.
Chwile lecą jak błyskawice... Jeszcze trochę — jeszcze chwila — lecz trzeba się żegnać i wracać... Tak! trzeba iść tam, bo tam wróg, tam niedola Ojczyzny — tam bój!...
— Panie Józefie! — szepce Wandzia przez łzy — panie Józefie, niech pan się modli — proszę codzień mówić „Pod Twoją obronę“, a Bóg ustrzeże!...
— Módl się i ty moja gołąbko, módl się za nami, wielka chwila — lecz Bóg może dopomódz!...
— A niech pan do mnie wróci — ja czekać będę... szepce dziewczę blade jak lilijka.


Karol Brzozowski.

— Wrócę!... Bóg da!... czekaj moje życie, moja gołąbko — będzie nam nasze szczęście milsze, gdy na nie ofiarą dla Ojczyzny zasłużymy...
— Bóg was niech prowadzi!...
— Bóg was niech strzeże!...
— Idziemy!...
Po raz ostatni dłoń Wandzi do ust przycisnął — wybiega — w tem — wraca — blady — milczący...
U drzwi dworu stoją Moskale!...

Rozpoczyna się walka jedna z tych, jakich nie mało toczyło się na naszej ziemi. Na garstkę napada — czerń dzika. Powstańców jest sześciu — kilku z służby dworskiej — a ich — Moskali cały oddział z majorem na czele!
Pohulajaż sobie kozacy!...
Mord straszny — dziki — krwi chciwy — namiętny, prowadzi tych gnębicieli narodu naszego na garstkę powstańców.
Domanowski obala jednego — drugiego — trzeciego — jak siłą cudowną jeszcze i czwartego kładzie na ziemi, gdy w tem krew mu z piersi trysła.
Wandzia krzyknęła — chwyta go — lecz kozak ją już dosięga.
Domanowski chwiejąc się — zasłania sobą dzieweczkę najdroższą, by jej wróg nie splamił dotknięciem, a sam jeszcze dalej walczy...
Wyrywa kozakowi broń, tnie z mocą ostatnią — skłania się i pada na ziemię...
— Wandziu!... podaj rękę! szepce jeszcze ostatniem tchnieniem...
Ona opiera się na jego dłoni, a w tym uścisku śmierć łączy ich dusze na wieki.
Razem z życiem — oddali powstańcy swoją broń wrogom...
Padli!... tylko jeden ocalał i skrwawiony, osłabły, o bladym świcie mroźnego poranku, dostał się do towarzyszy...
Gdy na niego Traugut spojrzał — o nic nie pytał...
Głód począł dalej wyciągać swe ssące żądła — ognisko zagasło — wicher mroźny huczał wśród boru, a oddział wynędzniałych powstańców przedzierał się dalej, szukając dla siebie nowego pola do walki za wolność Ojczyzny!...

Bogusław.



Karol Brzozowski.

Lwów obchodził niedawno nader uroczyście sześćdziesięciolecie pisarskiego zawodu Karola Brzozowskiego. Kółko literacko-artystyczne nadało sędziwemu poecie godność członka honorowego, wyrażając tym aktem głęboką cześć dla literackich i obywatelskich zasług twórcy „Maleka“. Ze wszystkich stron kraju nadesłano wyrazy hołdu i serdeczne życzenia. Karol Brzozowski urodził się w Warszawie w roku 1821. Po ukończeniu nauk w Sejnach, prowadził w Marymoncie fachowe studya leśnicze, zamierzając wstąpić w ślady ojca. — Po roku 1843 opuściwszy kraj, przeniósł się do Metzu, do szkoły artyleryjskiej. Następnie koleje losu przeniosły go na wschód. W charakterze inżyniera zakładającego sieci telegraficzne, przejeżdżał wzdłuż Azyę Mniejszą, dosięgając nad brzegi Eufratu. Prace zawodowe osładzały młodzieńcowi namiętne polowania i gra na teorbanie. Po dłuższym pobycie w Stambule, Brzozowski przeniósł się do Latabii i tam ożeniwszy się z Francuzką, objął kierownictwo francuskiego konsulatu.

Na obczyźnie nie zapominał o polskiej mowie — tęsknota stroiła mu bardon. Posyłał do swej ziemi coraz to piękniejsze poematy, powieści poetyczne na tle wrażeń osobistych osnute. „Noc strzelców w Anatolii“, „Ognisty lew“, rozgłosiły imię jego po kraju. — Za niemi poszły obrazki z życia południowej Słowiańszczyzny, „Deli Pethko“ (1870) i „Sen w Bałkanach“ 1877. W sześćdziesiątym drugim roku życia powrócił do kraju i rozpoczął nową epokę działalności.

„Malek“, podniosły dramat historyczny przedstawia wstrząsające epizody wojny krymskiej, zaczerpnięte z pamiętników Meya. Następnie nakreślił autor szeroko zarysowane obrazy historyczne „Oblężenie Lwowa“, „Karola XII-go“, „Joannę Napolitańską“ (1896). Do najcelniejszych dzieł sztuki należy „Oblężenie Lwowa“, utwór niepospolity, wymykający się z pod zwykłego szablonu dramatycznego. Bohaterem jest nie jednostka, lecz ogół, całe społeczeństwo w murach Lwiego grodu przez czerń opasane i broniące się z męztwem rozpaczy wobec grozy okropnej śmierci, zniesławienia lub jassyru. Poeta, bardziej epicki aniżeli dramatyczny, uczeń Mickiewicza, należy do

plejady piewców, trzymających wysoko sztandar najpodnioślejszych idei.

Cześć mu za to i chwała! *Z.*



Pod kreską.

Nosiłem się już oddawna z zamiarem napisania kroniki, ale to doprawdy rzecz trudniejsza niż się zdaje. Zapytacie, czemu? A to po prostu dlatego, że wypadki bieżące w naszym lubym Poznaniu biegną z taką niepowstrzymaną szybkością, która urąga wszelkiemu kunsztowi kronikarskiemu. Dawniej bywały inne warunki. Wyjaśnię to na przykładzie. Dawne kroniki powstawały w ten sposób, że kronikarz, zazwyczaj jaki stary mnich na końcu roku, lub co kwartał, spisywał ważniejsze wypadki bieżące. A więc jeśli zapisał: „W roku pańskim 1465 nawiedziła miasto straszna zaraza,“ to też zgodnem było z rzeczywistością, bo w kilkadziesiąt lat później jeszcze pokazywano stare cmentarzysko z bielącymi się z dala kopcami zadżumionych. Jednem słowem: co było w kronice, to było w życiu i odwrotnie.

Ale dziś — jakże się czasy zmieniły, miły Boże! Dajmy na to chciałbym zapisać w kronice: W ubiegłym miesiącu szerzyła się po Poznaniu straszna mania plotkarska. Każdy zapyta natychmiast, rzecz prosta: a gdzie dowody? a wtedy wolę odwołać, com powiedział, niż narazić się na to, że mnie zmasakrują panie swemi ostremi języczkami.

Chociażbym otóż dalej zapisał: Pobrali się państwo ci i ci. Młodej parze szczęść Boże! — ale zanim kronika z druku wyjdzie, już państwo młodzi zamyślają o rozwodzie. To samo jest i z polityką: jakże tu mam pisać z czystem sumieniem, że zabiera się na wojnę, bo Niemcy zawarły sojusz z Anglią, jeśli jestem przekonany, że wiadomość ta w chwili ukazania się numeru już będzie przestarzała, bo Niemcy zawrą przymierze z kim innym, byle z kim, aby tylko dla odmiany z kim innym.

Są jednak rzeczy, o których godzi się kronikarzowi zawsze słówko wtrącić, jako o rzeczy na czasie. Do spraw tych zaliczyłbym pokutującą już od dawien dawna na szpaltach gazet a znów świeżo przez naszą ukochaną „Pracę“ poruszoną sprawę utworzenia zwiazku dziennikarzy. Zapewne, myśl dobra i dobrem byłoby jej wykonanie, ale — wybaczcie to nieszczęne ale — sądzę, że prasa nasza do tego jeszcze nie dorosła. Zanadto jest prowincyonalna i małomiasteczkowa. Wiadoma zaś rzecz, że im mniejszym jest myślowy i lokalny horyzont, tem większemi są w swem przekonaniu lokalne wielkości, a im więcej jest takich małych wielkości, tem trudniej jest zaprządz je do jednego wózka. Ale, niech się tam poszczęści temu, kto ma ochotę ten zaprząg-skojarzyć.

Nasza młodzież uniwersytecka w Berlinie, jak nam donoszą, wstąpiła znów w okres gorączki pojedynków, sądów honorowych i innych niemających z nauką wspólności praktyk niby wielkomiejskich. Muszę też dodać, dla zaciekawienia kochanych Poznańczyków, a raczej panien Poznańskich, że wszystkie nieporozumienia poszły o płeć piękną — i to jeszcze w szczególności o płeć piękną reprezentowaną przez jednę z najszykowniejszych mieszkanek Poznania.

Lecz nie chcę poruszać kwestyi t. zw. „drażliwych“, więc wolę chwycić się innego tematu. Oto jako nowinę wielkiej wagi zaznaczam, że projekt komunikacyi wodnej pomiędzy Szczecinem a Berlinem, który ma być urzeczywistniony niebawem i to przez przeciągnięcie linii wschodniej, niezmiernie ma się przyczynić do ożywienia ruchu handlowego naszej całej prowincyi. Oby to się sprawdziło. Ja zaś, jako niepoprawny pesymista, przeczuwam, że w tych obietnicach jest raczej zasadzka na kabzę naszą: oto z pewnością prowincya poznańska będzie się musiała w zamian za te „korzyści“ przyczynić w gotówce do urzeczywistnienia budowy kanału, którym Berlińczycy będą się wysługiwać.

Aby wam dać dowód, że i ze wsią staram się utrzymywać stosunki, opowiem wam co mnie niedawno spotkało.

Chociaż życie towarzyskie na wsi rozluźniło się od tej pory, kiedy to „szlachcic był kontent, gdy miał wielu gości, na klęczkach prosił, by jedli i pili“, chociaż węgrzyna zastąpiono piwkiem „słomianem“, a combry i udźce na półmiskach szlacheckich, mimo wzrastającego zwierzostanu, do rzadkości należą — jednakże, gdy się okazyjka trafi — jeszcze od biedy parę stolików winta złożyć można.

Na imieninach u kochanego pana Maryana zebrało nas się kilkunastu. Człowiek godny z kościami, gospodaruje nieźle i gdyby nie pomór inwentarza, który go przed paru laty nawiedził, stałby wcale dobrze, w braku jednakże inwentarza, często gęsto w uprawie chybi, więc i plony nie zawsze dopisują. Rozumie to dobrze pan Maryan, to też łata, jak może, sztukując z musu płytką orką, niedobór sił sprzężajowych. Mamy go za wytłómaczonego, zwłaszcza, że i on sam wie dobrze, iż przy głębszej uprawie lepiejby się w Tęgoborach rodziło...

Ale — gospodarstwo gospodarstwem, a imieniny imieninami!

Zajeżdżamy do Tęgoborów!.. Kochany solenizant rozpromieniony niezwykle... Winszujemy...

Wreszcie odważył się któryś na dyskretne pytanie: a jakże tam kochany gospodarzu, zrobimy partyjkę?

Na to mój pan Maryan się nabunduczył i rzecze: „Odkąd ten X. X. sprzedał wieś na kolonizacyę, bo go zrujnowały karty, niegram więcej i panom grać nie pozwolę.“...

I nie graliśmy wtedy wcale.

Gdym spotkał po tej wizycie jednego ze znajomych i dzielę się z nim tą nowiną, powiadam Wam, w nos mi się roześmiał i odpowiedział wierszem Krasickiego:

Wszystko to być może
Ja to jednak między bajki włożę.

I na tem też zostało. *W.*



Wylądowanie księcia Jerzego na Kretę.

Roku 1898 dnia 10. listopada została wydaną ze Sudabei przez włoskiego kontradmirała Bottolo, angielskiego kontradmirała Noela, rosyjskiego kontradmirała Skrydlowa i francuzkiego kontradmirała Pottiera wspólna proklamacya, powiadamiająca ludy Krety, że rządy angielski, francuski, włoski i rosyjski powierzyły księciu greckiemu Jerzemu mandat komisaryatu nad Kretą; książę przyjął mandat obowięzujący na trzy lata, i uznał zwierzchnictwo sułtana, przez co przyszły do skutku przyrzeczenia uczynione przez radę admirałów w marcu r. 1897.



Wylądowanie księcia greckiego Jerzego na Kretę.

Przed południem 21 grudnia książę Jerzy przybył do Sudabei i był przyjmowanym na placu wylądowania przez admirałów czterech mocarstw i licznie zgromadzony lud. Okręty wojenne, znajdujące się w porcie, dały 21 armatnich strzałów. Następnie udał się książę pojazdem do Kanei, gdzie w prawowiernym kościele było odśpiewane Te Deum.

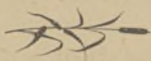
W Konak wiceadmirał Pottier złożył zarząd wyspy w ręce księcia. W tej samej chwili wzniosły się w Konak flagi autonomicznej Krety, które mają biały krzyż w niebieskiem polu, a w lewym górnym rogu białą gwiazdę w czerwonem polu. Przy objęciu władzy prosił książę Jerzy admirałów, aby swoim mocarstwom wyrazili jego podziękę za położone w nim zaufanie. W przemowie do Kretończyków przyrzekł rządzić bezpartyjnie i sprawiedliwie, i zalecił im, ażeby zapomnieli o nienawiści zaszłej pomiędzy chrześcianami i mahometanami, oraz podniósł, że pomyślność kraju wymaga, ażeby ludy wspólnie nad jej podtrzymaniem czuwały. W odezwie przybitej na murach miasta, wyraził książę nadzieję, że dzieło pokoju zostanie uwieńczone dobrym skutkiem, jeżeli ludy zastosują się do jego rozporządzeń. Niczego nie zaniecha, dołoży wszelkich starań, chociaż nie tai przed

sobą trudności, które mu staną na drodze. Kanea była świątecznie ozdobioną, poczęści autonomicznemi chorągwiami. Wieczorem odbył książę przejażdżkę po mieście, podczas której odbierał objawy hołdu od ludu. Miasto było iluminowane. Dnia 22 grudnia przyjmował książę biskupa, rabina i kadiego, następnie obejrzał meczet.

Dnia 24 grudnia z powodu odjazdu admirałów dany był pożegnalny obiad, na który, oprócz księcia, otrzymali zaproszenia oficerowie sztabowi i konsulaty. Dnia 26 admirałowie czterech mocarstw opuścili wyspę. Wkrótce, rozwiązał się komitet egzekucyjny sprzymierzonych narodów.

Zachodzi jeszcze pytanie, czy wpływ księcia Jerzego dosięgnie dalej, jak wpływ admirałów, których to wpływ ograniczał się tylko do wybrzeży i dosięgał tak daleko w głąb wyspy, jak ogień działowy okrętów.

D.



(Przedruk wzbroniony.)

POLITYKIER.

Powieść

z życia Polaków w Ameryce

odznaczona pierwszą nagrodą i złotym medalem

na konkursie literackim im. M. Kopernika.

(Ciąg dalszy.)

I wchodzi.

— Pochwalony — zwraca się do urzędnika. — A to proszę wielmożnego, tej starej zabrali syna do wojska, a tej znów chłopa... Michał Kowalczyk, a ten drugi... Jakże?...

Tu pytająco ogląda się na starą, a ta mu odpowiada:

— Marcin Dziewan.

— A ino. Dziewan... Co one teraz same poczną... Prosiłbym też pięknie łaski wielmożnego, do dom ich puścić...

Sługa cesarski własnym uszom niedowierzając, pyta:

— Co? co takiego?

— A to pedam, że ja za nich na wojnę pójdę i za nich obu będę Francuzów tłukł. Przecie to dla króla lepiej jednego tylko żywić i przyodziewać.

Urzędnik popatrzał jak na waryata i śmieje się.

— Tu nie żaden śmiech, proszę wielmożnego, bo w chałupie sieroty... A co na wojnie choćby i dwóch jakichś tam mizeraków znaczy. Ale jak ja pójdę, to Francuz zje licha, czy mi który żyw z ręki ujdzie. Niech mi tylko popadnie, to już będzie miał dosyć. O, widzi wielmożny...

Tu swój sękaty kij, bez żadnego wysiłku, jakby patyk, na kawałki zaczyna łamać.

— Donnerweter! — skoczył urzędnik i oczy szeroko otwiera. Bierze one kawałki, ogląda, cmoka i też łamać próbuje, ale gdzie tam, ani rusz.

— Donnerwetter! — wciąż tylko powtarza zdumiony i głową z podziwu kręci a potem woła: — Fryc, Fryc! Rudolf!

Więc przyleciał zaraz on Fryc z Rudolfem i dalejże też oglądać, ale głowami jakoś kręcą i widać nie wierzą, bo choć im się tamten przysięga, oni drugi kij Frankowi wtykają. Dopiero kiedy i z drugiego tylko drzazgi zobaczyli, nuż się wszyscy dziwować i muszkuły mu w rękach macać. A wciąż z sobą szwargocą, z podełba jakoś na siłacza spoglądając.

Siłacz tymczasem, zadowolony z siebie, dalej im prawi:

— A co, nie lepszy taki jeden niż choćby i trzech chuchraków. Ho ho, już ja się tam żadnych Francuzów nie ulęknę i król się też nie powstydzi za mnie. A ja tu zaraz poprzysięgnę, że będę bił za dwóch, jeno tamtych do dom wypuśćcie. Jak zabiją, to też lepiej, że jednego niż dwóch, i lepiej, że takiego niżby ojca dzieciom, albo syna matce.

Tak mu się jakoś język rozwiązał, że bodajby bez końca gotów tak rozprawiać; ale oni jak ze sobą poszwargotali, zaraz go wypytują: jak się nazywa, jak ojcu na imię, ile ma lat itd. A kiedy już zapisali, on zaraz do bab:

— A co? nie gadałem? czy nie na moje wyszło? Widzicie, że puszczą.

Z wielkiej uciechy kobieciny gotoweby mu ręce ucałować, ale go znów zawołali, bo jeszcze widać nie koniec z tem pisaniem. I to aż we trzech, wszyscy nad czemś tak radzą, a medytują, albo się śmieją.

A tymczasem Krasny jakiś dziwnie niespokojny. Co temu psu? Kręci się, skomli, o nogę się panu ociera; aż pan, zły, że mu przeszkadza, odtrącił go od siebie, i dalej swoje.

Nareszcie zamknęli księgę. Franek odetchnął i do kobiet się zwraca:

— No, już po wszystkiemu. Widzicie. A takiegoście miały stracha. Teraz już możecie z Bogiem sobie wędrować do domu, a i oni tam wrócą.

Kobieciny znów mu się do rąk garną, ale on nie pozwala.

— E, do czego się zdało — protestuje — a czy to ja ksiądz albo wielmożny, żeby mnie po rękach lizać... Idźcie, już idźcie z Bogiem — dodał zlekka je ku drzwiom popychając.

A kiedy się nareszcie bab z karku pozbył, na ławie sobie w kącie pod ścianą przysiadł i duma. A widać różne go myśli opadły, bo raz uśmiecha się zadowolony, jak ten, co poczciwy czyn spełnił, to znów patrzy w ziemię ponuro. Pewno mu się Kasia, albo i ten Kowalczyk przypomina, bo któż odgadnie co tam teraz w domu, albo co ten Kowalczyk?... Może to nowe pokaranie, a może i łaska Bozka, jeżeli to ten sam... Szkoda, że się lepiej nie wypytał czy to on...

A Krasny tymczasem dał już widać za wygraną, bo spokojnie legł nieopodal i markotny spogląda na pana, jakby sobie myślał: stało się, darmobym odradzał. Niech cierpi, kiedy głupi.

Ale psisko ma dziś widać pecha, czy co, bo mu się nic nie szykuje. Ani jeść ani nawet spocząć nie dadzą. Ledwo że się wyciągnął, a tu zaraz jakiś urzędnik pędzi z papierami jak waryat, i niezdara, potknął się na nim. Rozłoszczony, zaklął po swojemu, kopnął go i zwymyślawszy żołnierza, popędził dalej.

Biedny kuternoga, aż się zwinął z bólu i skowyczy. A tu jeszcze ów zwymyślany Prusak przypada i nuż po prusku wypędzać.

Psisko choć na cudzych śmieciach, a jednak warczy, zęby szczerzy i opiera się. Ale co takie warczenie znaczy przeciw pruskiego wojaka. Więc tyle tylko zarobił, że mu się jeszcze kolbą oberwało.

Chociaż Franek zaraz w obronie przyjaciela stanął, ale Krasny już tymczasem sponiewierany, za drzwiami z bólu skowyczy.

— A za co mi tak psinę rozbijasz? — wymawia i ku drzwiom zmierza, aby go wpuścić.

— Tu nie wolno — tłumaczy sołdat i zastępuje mu.

— Co wam szkodzi. Kiedy mi psa poniewieracie, to i ja tu niepotrzebny.

I odtrąca sołdata; ale zaraz cała ich gromada skoczyła.

Onby im wszystkim poradził, ale co Prusak to nie Francuz — Prusaka bić nie wolno, więc też nie bije, szarpie się tylko i wyrywa.

— Puszczajcie! — woła — ja tu przecie nie po niewoli!

A Krasny, jakby przeczuwał, że pan w niebezpieczeństwie, do drzwi się dobija, aby go ratować. A z nim nie żarty. Choć nie duży, i tylko o trzech nogach, ale jak wieprzka za ogon albo za ucho dostanie, to już nie popuści. Zwłaszcza też do wieprzków okrutnie sprawny, bestya, i strasznie na nie zawzięty.

Franek, kiedy to dobijanie posłyszał, jeszcze bardziej markotny.

— Puszczajcie — powtarza — bo kiedy tak, to ja wcale na wojnę nie pójdę i już. Nie chcę...

Tu mu aż w oczach pociemniało, tak go podoficer kułakiem w zęby poczęstował.

Na to wszedł starszy i zaraz krzyczy:

— Ruhig! Was ist das?

Franek, krwią zalany, chce się przed nim użalić, ale on znów: Ruhig! i pyta podoficera. A kiedy ten mu wziął opowiadać, to szwab się jeszcze śmieje i przywtarza: Ja, ja, dummer Polak! A potem kazał do rekrutów odprowadzić.

Co było robić. Więc biedak idzie, a krew spluwa i pod nosem sobie mruczy:

— A czy mnie tu licho przyniosło, czy mi Pan Bóg rozum odebrał, czy co?

Tu sobie znów Kowalczyka przypomniał i myśli, że to znów chyba pokaranie bozkie nad przeklętym. — I krzyż widać nie pomógł.

Taki był krwawy początek Frankowej wojaczki. Jeszcze prochu nie powąchał i Francuzów nie zobaczył, a już mu się przyjadła.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Grają u nas w Poznaniu dużo i dobrze — ja jednak mówię jedynie o grze artystów na scenie — o innych grach niech mówi kronikarz. W ostatnim czasie dano dwie mniej u nas znane sztuki „Żołnierza królowej Madagaskaru“

i klasyczną Juliusza Słowackiego „Lillę Wenedę“. — Pierwsza z wymienionych sztuk, farsa to bardzo wesoła, ale też bardzo podkasana i nieco ślizga. Trzeba też zachować pewną miarę, aby tych drażliwości nie było za wiele. Pani Jakubowska, występująca w głównej roli „prima balleriny“ — umiała zachować takt i miarę, przyczem nie zapomniała rozwinąć dużo filuternej kokieteryi wobec zakochanego młokosa (p. Knapczyńskiego), który był jak zwykle arcyzabawnym, i wobec poważnego mecenasa z Radomia (p. Wiśniewski) — nieco zbyt sztywnego. Inni artyści wywiązali się z zadania poprawnie.

O „Lilli Wenedzie“ nie można pisać krótko — dla tego o sztuce znanej, ocenionej zresztą przez naszych najwybitniejszych literatów, nie piszę, natomiast podnoszę dobrze wystudjowaną grę, p. Bednarczyka w roli Derwida, p. Święckiej w roli Guinony i p. Falkowskiej w tytułowej roli. Sztukę grano przed zapełnionym teatrem. Benefisanta p. Bednarczyka, darzono hucznemi oklaskami. *A.*

Kronika.

Żyjemy w czasach dziwnego zamętu. Widzimy codziennie ogromne postępy we wszystkich dziedzinach pomysłowości ludzkiej, a jednoczesnie pewne cofanie się pojęć i wyobrażeń uszlachetnionych, które cywilizacya chrześcijańska stworzyła; widzimy rozwój szkolnictwa przy znacznych nakładach, a jednoczesne utrudnianie oświaty przez niewłaściwy, nieodpowiadający często charakterowi młodzieży tryb nauki; słyszymy raz wraz z ust ministrów, iż polskiego żywiołu zgładzić niema zamiaru, a wszędzie, gdzie spojrzysz przeziera chęć zatarcia śladów bytu naszego plemienia. Co to za sprzeczności! Ustawicznie brzmi samochwała kultury i cywilizacyi niemieckiej, a nieledwie dzień każdy przynosi nam dowody, iż nieposzanowanie równouprawnienia obywatelskiego i odrębności narodowej, że nietolerancya i sprzeczne zasadom cywilizacyi nienawistne traktowanie podbitego narodu, że wreszcie szał szowinistów, w brutalność przechodzący, kłam zadaje cywilizacyjnym ideałom.

Sejmowe obrady z zeszłego tygodnia stanowią chyba także przyczynek do charakterystyki zupełnie zamąconej sytuacyi. I tak w etacie przeznaczono na „cele kulturne“ dla wschodniej dzielnicy dwie poważne sumy, ażeby za nie założyć muzeum i bibliotekę prowincyonalną. Jedno i drugie niewątpliwie powinno służyć celom oświaty mieszkańców dzielnicy naszej, ale przecież przeważna część tychże mieszkańców jest polska, a z intencyi, które do stworzenia tychże instytutów wiodą, wynika, że tylko wzmocnieniu niemieckiego żywiołu służyć mają, a podług marzeń hakatystów nawet mysz polska nie powinna z nich mieć pożytku. W etacie wznowiono też „zur Stärkung des Deutschtums“ fundusz dyspozycyjny, ale to nie przeszkadzało p. ministrowi Miquelowi zarzekać się, że nie chodzi wcale o wyparcie żywiołu i języka polskiego. Zdawałoby się, że — jak dwa razy dwa jest cztery — jeden żywioł się tem samem osłabia, gdy się specyalnie wzmacnia przywilejami drugi, cóż kiedy polityka antypolska ma swą osobliwą logikę. Gdzie siła stanowi uzasadnienie właściwe, nie pytając o słuszne żądania słabszego, tam nawet najściślejsza argumentacya nic nie pomoże. Każda z ostatnich sesyi parlamentarnych przekonywała nas o tem, a bieżąca pewno nie będzie inną od poprzednich.

A własnie to przeświadczenie powinno nas skupiać i naprowadzać na drogi coraz energiczniejszych dla podtrzymania narodowości usiłowań. Wszędzie, gdzie widzimy widoczną chęć podłamania naszego organizmu narodowego, trzeba zawczasu myśleć o środkach zaradczych. I tak n. p. gdy niedawno we Wrocławiu z inicyatywy wyższej rozwiązano obydwa stowarzyszenia akademickie, najpilniejszą zapewne jest rzeczą pomyśleć o zrównoważeniu straty moralnej, jaka przez to powstała. Samo pocieszanie się, iż akademicy nasi przez to jednak nie upadną, opinii naszej uspokoić nie może. Wiemy dobrze, iż wielu studentów słabszej woli potrzebuje duchowej podniety, ażeby obok swego zawodowego obowiązku wykształcić swój umysł do poważniejszych obywatelskich zadań. Nie przeceniamy stowarzyszeń akademickich, ale sądzimy, iż one do nich najlepiej przysposabiały. Ponieważ je rozwiązano, więc trzeba się zwrócić do dzielniejszych, duchowo bardziej wyrobionych jednostek pośród młodzieży akademickiej z zachętą, ażeby w szczuplejszych kołach, zakazem przecież nie rozbitych, pracowały nad podnoszeniem ducha, wzmacnianiem sił moralnych i krzewieniem cnót obywatelskich wśród kolegów. Żyjemy w poważnych czasach, a właśnie dla tego na każdej jednostce inteligentnej nader poważne spoczywają obowiązki. Do tych obowiązków niechaj się młodzież wszelkiemi środkami dozwolonemi przygotowuje, jeżeli szanuje godność i uczciwość swą narodową. Wszakże przy koleżeńskiem, szczerszem i swobodniejszem pożyciu tak łatwo o wywieranie dodatnich wpływów! Niechajże coraz bardziej utrudniane warunki naszej egzystencyi będą bódźcem do coraz serdeczniejszego skupiania się.

Niewiem czy właśnie tym trudnościom, piętrzącym się w około nas, tej chęci rozbicia naszego społeczeństwa na atomy nie należy przypisać objawu dodatniego wśród naszego obywatelstwa. Jest nim żywsze pożycie towarzyskie, częstokroć z pożytkiem ogólniejszym połączone. Nieco więcej łączników widać dziś pomiędzy poszczególnemi domami i rodzinami, a już karnawał bieżący, jakkolwiek w bale niezbyt bogaty, zdaje się obfitować w prywatne wieczorki. Oby takiej łączności było jak najwięcej!

Kiedy już mowa o balach, toć wspomnieć się godzi o zabawie takiej „Towarzystwa przemysłowego“ na sali bazarowej. Liczne obywatelstwo z wszystkich kół społeczeństwa pospieszyło na ten bal popularny, który podług starych tradycyi ma zawsze służyć idei skupiania się obywateli. To też i tym razem było tłumnie i bawiono się raźnie. Niechże i to przyczyni nam zgody, spokoju, wspólności w pracy, jak w ogóle dobrego zrozumienia narodowych interesów. W ogólności też zrozumienie takie przenikło już do najniższych warstw społecznych i to — co ważniejsza — wolne od szowinistycznych wybujałości. Cóż kiedy świadomość narodowej odrębności i narodowych obowiązków — choć nieprzesadna, jeno zupełnie naturalna, prosta i rozumna, zawsze będzie solą w oku zapaleńcom pruskim, dla których Polak wtedy dopiero jest współobywatelem, gdy się wyzuje z wszelkich narodowych głębszych uczuć i poczucia, manifestacyjnie objawiać patryotyzm pruski. A kto wie, czy i to wystarczy! Przy okazyi urodzin cesarskich wielu bardzo obywateli niemieckich zaniechało iluminacyi i nie wywiesiło chorągwi, a mimo to nie zarzucą im szowiniści braku patryotyzmu. Że Polacy zaś nie korzystali z tej okazyi, ażeby koniecznie zamanifestować swą lojalność, poczytują naturalnie zaraz za dowód wyłączności i buntowniczego usposobienia.

Takiego wyobrażenia o nas z pewnością też nie naprawiła pewna winiarnia polska w górnej części grodu Przemysława, która z dwóch stron wywiesiła chorągwie na dzień uroczystości cesarskiej. Już taka to natura pruskich szowinistów, że gotowi i tę lojalność osądzić nie jako objaw uczuć prawdziwych, ale raczej nieszczerości polskiej. Słowem, czy tak, czy siak, zawsze nas źle będą sądzili, a z tego wynika, że najlepiej, gdy nietylko jesteśmy sobą, ale także okazujemy się takimi, jakimi jesteśmy — to jest Polakami.

Ale nie zatracając charakteru polskiego, powinniśmy unikać wszelkiej narodowej krzykliwości i przesady, a prasa w tym względzie powinna być nam wzorem. Tymczasem, gdyby ktoś zbierać zechciał wszelkie śmieszności i bałamuctwa, zachodzące w naszej prasie codziennej, to zdaje mi się, iż przez rok uzbierałyby mu się tomy całe najrozmaitszych osobliwości. Tu się czyta o wielkości i zasługach ludzi, którzy zaledwie spełniali z mniejszym lub większym sukcesem powszednie zupełnie obowiązki, tam znowu napotyka się detalizowane aż do śmieszności opisy potraw i napojów na pewnej uczcie prywatnej, a przy innej sposobności czyta się panegiryki i hymny pochwalne, gdy ktoś z naszych nabędzie na własność coś, co uważa dla siebie za korzystne. Oto n. p. próbka świeża, jakiej nam ubiegły tydzień dostarczył:

„*Pobiedziska.* Nasz rodak, dziedzic Pomarzanowic, Wny Pan dr. Tadeusz Jackowski, kupił Wrączyn, wieś od rytmajstra p. Falkenheim za 480 tysięcy marek. Dnia 30-go nastąpił przepis. Wieś Wrączyn jest bardzo uroczą okolicą; kościoł, szkoła, 300 mórg boru, jezioro z rybami, 3 tys. mórg roli, gorzelnia, która sama rocznie przynosi 20 tys. marek czystego dochodu. Długie lata był Wrączyn w niemieckich rękach, więc dziś prawie niepodobna do wiary, żeby rytmajster, który długie lata trzymał wieś pod swojem okiem, w dzisiejszych czasach sprzedał ją takiemu obywatelowi, jakim jest dziedzic pan dr. Tadeusz Jackowski. Takich nam więcej potrzeba, toby nie było takich skarg i narzekań, jak podczas

ostatnich wyborów, gdzie to człowiekowi polskiemu we Wrączynie za rozdawanie karteczek zostało miejsce wypowiedziane! Do mnie to chodził taki wydalony i żalił mi się, co ma robić. Miał mieszkanie na dole, to go potem przenieśli na górę pod komin. Tak sobie z polskimi ludźmi postępowali i postępują. Ludzie roboczy uszanujcie waszych chlebodawców, bo pod nimi macie wszelką swobodę. Tam Wam nie powiedzą: verfluchter Polak, tak jak się to dzieje pod niektórymi panami.

Wielmożnemu dziedzicowi panu dr. Tadeuszowi Jackowskiemu życzymy jak najlepszego zdrowia, żeby go Pan Bóg z jego godną małżonką i dziećmi zachował ciągle w Swej łasce i utrzymał ich w zdrowiu w jak najdłuższe lata!"

Tak oto maśli „Wnemu Panu drowi Tadeuszowi Jackowskiemu" jedno z pism poznańskich z tego tytułu, że kupił Wrączyn z rąk rotmistrza p. Falkenheima. Pociechą to niezawodnie dla nas wszystkich, gdy za tyle kawałów ziemi straconej jeden powróci do rąk naszych, ale po co tyle krzyku i tyle niepotrzebnych kadzideł, które samego kupującego ambarasować muszą? Społeczeństwo powinno przecież nauczyć się wreszcie rozróżniania interesów osobistych od patryotycznych ofiar i poświęcenia, a prasa ma być właśnie tą nauczycielką dobrą, szczerą, prawdziwą, a nie bałamutną i płaszczącą się przy lada sposobności. Jeżeli zresztą redakcya jakiegokolwiekbądź pisma uczuwa duszną potrzebę złożenia życzeń „najlepszego zdrowia i łaski boskiej „Wielmożnym dziedzicom", nabywającym majątki, jako też „Ich godnym małżonkom i dzieciom", to niechże prywatnie, przez pocztę wyśle gratulacyą, ale niech pragnień serdecznych publicznie nie ogłasza, bo się ośmiesza przed własnymi czytelnikami, no, a bardziej jeszcze przed opinią niemiecką.

Nikt rozsądny z pewnością nie potępi wyrazu hołdu i uznania dla wielkich czynów i zasług, ale dobro publiczne wymaga tego, ażeby wykorzeniać w pośród społeczeństwa jedną z zastarzałych a bardzo szkodliwych wad t. j. rażące zamiłowanie do pochlebstw. Toć niema prawie uroczystej biesiady, niema uczty prywatnej, ba nawet skromnej schadzki przy kieliszku wina, aby się nie przesadzano wzajemnie w pochwałach, a w długim szeregu toastów słyszy się prawie zawsze zwykłe odmiany: „ja wielki, tyś wielki, on wielki, my wielcy, wyście wielcy, oni wielcy." Tym trybem zdarza się często, że w liczniejszem nawet towarzystwie niema ani jednego małego jeno sami wielcy. Cóż dziwnego, że skromniejsi niekiedy dopiero przy takich okazyach dowiadują się o swojej wielkości i poczynają żal mieć do siebie samych, że się uważali tylko za przeciętnych lub miernych. Ztąd mnożą się u nas, zamiast ubywań w tych trzeźwych i twardych czasach, objawy chorobliwej próżności.

Jednym z nich jest np. urządzanie uczt składkowych przy lada sposobności, absorbujących czas, kieszeń i zdrowie. Jakież rozmaite tytuły służą do aranżowania biesiad takich? Pan X. wytrwał 25 lat w swoim zawodzie, dalejże więc urządzać obiad; pan Y. opuszcza Poznań po kilkoletniem pobycie, zostawiając słabe ślady publicznej pracy — trzeba go uczcić wspólną kolacyą; pan mecenas pomyślnie bronił kilku ziomków oskarżonych o znieważenie i pobicie komisarza — trzeba to upamiętnić ucztą na cześć jego specyalną i t. d. i t. d. Zazwyczaj dzieje się tak, że kilku najbliższych solenizantowi zaagituje, wielu amatorów takich biesiad chętnie się przyłącza, a reszta z delikatności nie odmawia — i „titulus bibendi" nie poszedł na marne.

A doprawdy i bez wyszukanych tytułów biesiadujemy i pijemy za wiele. Mówimy wprawdzie, że w Królestwie strasznie piją, ale w rzeczy samej nałóg ten u nas o wiele bardziej jest zakorzeniony. Iluż to obywateli nie umie już prawie inaczej wieczoru spędzić, jak przy kuflu lub kieliszku, który im zastępuje wszelką duchową strawę, zastąpi posiedzenie jakie pouczające, zastąpi lekturę poważną i sztukę sceniczną — słowem wszystko co życie nasze upiększa i uszlachetnia.

Temu zamiłowaniu do biesiad w restauracyach i winiarniach przypisać należy w znacznej części, że życie towarzyskie, że pożycie wzajemne rodzin u nas dotychczas nie bardzo jest rozwinięte, a właśnie w tem obcowaniu familijnem tym więcej skupiać będziemy musieli narodowe swoje siły, im bardziej nieprzyjaciel rozrywać nam będzie ogniwa życia publicznego.

Stańmy zawczasu strażą u naszych strzech rodzinnych!

Alf.



ŻONA DOKTORA.

Powieść amerykańska.

(Ciąg dalszy.)

W następnym tygodniu ukazywali się oboje w towarzystwach, wywołując ogólny podziw. Jeden z ich znajomych z Nowego Yorku, którego tu przypadkiem spotkali, nie umiał wcale ukryć zdumienia na widok Ewy, której piękność rozwinęła się w tym krótkim czasie w takiej okazałości! Hołdy, jakie jej wszyscy składali, onieśmielały ją widocznie z początku, ale słodki uśmiech i promienne spojrzenie, z jakiem je przyjmowała, dowodził, że przyzwyczaiła się już do nich, i że jej to wielką sprawia przyjemność.

Ale szczęście i tryumfy młodej pary nie były też bez cienia. Ewa okazywała czasem roztargnienie, dziwne rozdrażnienie, i zmieniała często usposobienie bez żadnego na pozór powodu. Z najbliższymi znajomymi nie wiedziała nieraz, o czem mówić i odpowiadała im zupełnie przewrotnie na ich pytania. Wczoraj dopiero popełniła taką nietaktowność względem gospodyni domu, że mąż jej w największym był kłopocie. Jedno jego słowo wróciło jej wprawdzie zwykłą przytomność umysłu, a spojrzenie, jakiem prosiła go o przebaczenie, rozbroiło go do szczętu. Charakter jej był bez wątpienia dziwnym i trudnym do poznania. Czasem zdawało się, że wytworna jej postać nie zgadza się wcale z niezręcznemi manierami i nieśmiałością, ale dowcip i wykształcenie nagradzały te drobne uszczerbki i nadawały jej coraz to nowy wdzięk i urok, któremu nikt oprzeć się nie mógł.

Kameron nie byłby też wcale zważał na owe małe wykroczenia przeciwko zwyczajom i etykiecie wielkiego świata, pomimo, że go to niezmiernie dziwiło. Czuł się szczęśliwym, i to wystarczało mu, — czasem jednak zdawało mu się, że nie wszystko jest tak, jak być powinno, że w raju jego ukrywa się jakaś tajemnica, której jemu odkryć nie wolno, aby nie zniszczyć swego spokoju i swobody. Wszakże nie śmiał nawet badać, czy zagadkowa choroba, na którą się Ewa raz po raz uskarżała, jest rzeczywistą i jedyną przyczyną, owej zmiany, w którą prawie wcale jeszcze nie mógł uwierzyć!

Jedno tylko wiedział napewno, a mianowicie, że to, co przed nim ukrywała, nie mogło być niczem złem lub nieuczciwem, bo jakżeby zdołała patrzeć na niego tak swobodnie, swemi pogodnemi, jasnemi oczami? Czyż on sam nie był szalonym z tem podejrzeniem i wątpliwością? Czy nie lepiej cieszyć się rozkoszną teraźniejszością, niż męczyć się niepotrzebnie przeszłością? Nie chciał też zatruwać sobie swego nowego, wielkiego szczęścia, tylko używać go w całej pełni. I rozmawiając wesoło z żoną, przyrzekał sobie może po raz dziesiąty w duszy, że zapomni o tem, co było, i że odtąd żyć będzie dla Ewy i dla ich wspólnego szczęścia.

— Nie mogę już doczekać naszego powrotu do domu! — zawołał nagle. — Pragnę tak bardzo pokazać cię moim przyjaciołom? Kiedy wyjedziemy ztąd?

Twarz Ewy zachmurzyła się.

— O, czy koniecznie musimy wracać? — zawołała niechętnie. — Ja chciałabym tu na zawsze pozostać! Nienawidzę Nowego-Yorku — dodała szybko, widząc jego zdumienie — i nie życzę go sobie wcale oglądać! Tutaj mam ciebie zawsze przy sobie, a tam należy tylko mała cząstka twego czasu do mnie!

Słowa te uradowały niezmiernie Kamerona — objął czule żonę i ucałował gorąco jej usta. Nagle doznał takiego uczucia, jak gdyby ktoś inny był jeszcze w pokoju, i gdy zmieszany podniósł głowę, ujrzał na progu cienną jakąś postać!

— Kto tam? — zawołał, zrywając się żywo.

Postać zbliżyła się, a doktor zdziwiony, patrzał na znajomą sobie twarz, której tu jednak nie spodziewał się nigdy w życiu zobaczyć!

— Wybacz pan — odezwał się nowoprzybyły — myśleliśmy, że to jest salon hotelowy, a nie pokój prywatny.

Teraz spostrzegł doktor drugiego jeszcze mężczyznę, także znajomego, ale nie zważał już na niego, wpatrując się jedynie w twarz Molworta.

— Mam do pana wielką prośbę — rzekł tenże po chwili milczenia — wolno mi powiedzieć, jaką?

— Prośbę, do mnie?

— Tak — odpowiedział Molwort roztargniony, obejmując wzrokiem pełnym podziwu Ewę.

— Moja żona — przedstawił Kameron krótko.

Panowie ukłonili się, Ewa zaś pochyliła głowę, ale tak niechętnie i wyniośle, że Molwort spuścił oczy i zdawał się odtąd zapomnieć zupełnie o jej istnieniu.

Gryce za to nie spuszczał z niej oczu. Czy to niezwykła piękność jej, czy dziwna zmiana jej powierzchowności tak go zajęła, dosyć, że prócz niej, nie widział nic i nikogo w pokoju. Pomimo to słyszał wyraźnie każde słowo rozmowy obydwóch doktorów.

— Nie będę panu długo przeszkadzał — zaczął Molwort. — Jak ważną jest moja prośba, która mnie tu sprowadza, niechaj pan z tego osądzi, że przybyłem do Waszyngtonu jedynie po to, aby ją panu wypowiedzieć!

— Proszę, mów pan o co chodzi — odrzekł Kameron grzecznie, posuwając mu krzesło, podczas kiedy Ewa dumna i obojętna stanęła przy oknie.

— Jeżeli pan sobie nie przypominasz mnie z czasów uniwersyteckich, to w ostatnich tygodniach musiałeś słyszeć raz po raz moje nazwisko. Występowałem jako główny świadek w procesie, który wywołał wielkie zajęcie nietylko w Nowym Yorku, ale i w całej Ameryce.

Twarz Kamerona wyrażała niezmierną ciekawość! Czytał on naturalnie przebieg całego procesu, nigdy jednak nie wspomniał o tem do żony, i to z powodów bardzo zresztą zrozumiałych.

— Tak jest — rzekł — przypominam sobie czytałem o śmierci narzeczonej pana z wielkiem współczuciem, bo...

Mimowoli spojrzał na Gryce, którego obecności nie umiał sobie w żaden sposób wytłumaczyć, nie chcąc jednak o nic pytać. Gryce przyłożył nieznacznie palec do ust i wskazał oczami na Ewę.

— Umarła ona tego samego wieczora — mówił dalej Molwort — którego odbył się ślub pana.

Kameron pochylił głowę. Wiedział on, co znaczył ruch policyanta. Dla Ewy byłoby to bardzo nieprzyjemnem, gdyby się dowiedziała o swem uderzającem podobieństwie do samobójczyni. Ale podobieństwo to nie musiało teraz już istnieć, ponieważ w przeciwnym razie byłby Molwort coś o tem wspomniał.

— Nie przybyłem tu jednak po to — odezwał się znowu Molwort — aby rozmawiać z panem o zagadkowej śmierci panny Farle. Jeżeli czytałeś opis procesu, to musisz znać wyrok i wiedzieć, że uwierzono zupełnie moim zeznaniom. Zadziwi więc pana nie mało, gdy usłyszysz, że policya teraz dopiero uznała za stosowne wąpić o prawdzie słów moich, że podejrzywają mnie o popełnienie zbrodni, i że zostałem po prostu uwięzionym.

— Nie może być — zawołał Kameron, patrząc znowu mimowoli na żonę, której wysoka postać odbijała malowniczo od ciemnych firanek przy oknie.

— Nie mówię panu o tem dla tego, aby wywołać twoje współczucie — rzekł Molwort spokojnie. — Jestem niewinnym, ale... — tu głos jego zadrżał — nie zmienia to bynajmniej faktu, że podejrzenie, jakie na mnie rzucono, zniszczyło całą moją przyszłość. Czy stanę przed sądem, czy nie, dobre moje imie jest stracone, a praktyka lekarska nigdy się już nie wróci. Pan sam tylko możesz zmniejszyć moje nieszczęście, naturalnie, jeżeli zechcesz!

— Jakto, ja?

Czemu oczy Kamerona zwróciły się znowu na żonę, stojącą nieruchomie przy oknie? Zdawało się, że rozmowa obydwóch mężczyzn nie zajmuje jej wcale. Obydwiema rękami trzymała silnie firanki i patrzała na ciemne niebo, na którem ostatnie promienie słońca ginęło w nieskończonej dali. Ale ktoby był widział teraz jej twarz, ten byłby się przeraził wyrazem strasznej męczarni, jaka delikatne jej rysy wykrzywiła.

— Nie rozumiesz mnie pani jeszcze — mówił Molwort z niewzruszonym spokojem dalej — ale ci ja to zaraz wytłomaczę. Chciałbym... — tu zatrzymał się na chwilę i odetchnął głęboko. — Zdaje mi się, że żona pana....... nie przeszkadzam — dodał, wstając.

— Nie, nie — zawołał Kameron żywo. — Powiedz pan w czem mogę ci służyć!

— Wiem — odrzekł Molwort, siadając znowu — że pan jesteś śmiałym i ambitnym człowiekiem, i że w nadzwyczajnych wypadkach nie cofnąłbyś się przed zapisaniem nadzwyczajnych środków. A gdyby który z kolegów nie mógł sam, dla nieprzewidzianych okoliczności, przeprowadzić taką kuracyą, to zastąpiłbyś go, i postępowałbyś ściśle podług jego przepisów, nieprawda?

— Naturalnie!

— Taki też wypadek zdarza się właśnie teraz! Słyszałeś pan zapewne o Brygicie Haloran. Wszyscy lekarze opuścili ją, ale ja mam nadzieję uleczenia jej. Środek, który przeciwko tej chorobie wymyśliłem — na dany znak wręczył mu Gryce ów zapisany papier — musi być skutecznym i otoczyć sławą nazwisko lekarza, który miał odwagę użycia go.

— Pokaż pan — zawołał Kameron żywo, zajęty niezmiernie słowami kolegi.

I teraz głowy obydwóch tych mężczyzn pochyliły się nad ćwiartką papieru i po chwili toczyła się pomiędzy nimi nadzwyczaj ożywiona dyskusya lekarska. Kameron podziwiał Molworta i wyjawił mu to zupełnie otwarcie.

— Zkąd pan u licha, wpadłeś na tę myśl! — zapytał nareszcie. — Wszakże to, podług mego zdania, nadzwyczaj ważne odkrycie!

— Dniami i nocami rozważałem tę rzecz — odparł Molwort. — Mnie wszystko tak łatwo nie przychodzi na myśl, jak panu!

— Tem większy zaszczyt dla pana — zawołał Kameron z szczerem uznaniem i schował starannie złożony papier do kieszeni.

— Chcesz się pan zająć leczeniem chorej?

— Tak, ale pod warunkiem, że jeżeli się kuracya powiedzie, panu samemu będzie się należał honor i zasługa.

Ciemne oczy Molworta błysnęły radością. I już wyciągał rękę, aby uścisnąć dłoń kolegi, ale zaraz potem zaniechał swego zamiaru. Przez chwilę głębokie w pokoju panowało milczenie. Molwort pierwszy przerwał je.

— Zadanie moje skończone — rzekł, wstając — nie potrzebuję tu już dłużej zostawać! — A zwracając się do Gryca, dodał:

— Służę panu!

Pomimo to nie spieszył się jakoś wcale z odejściem, tak samo, jak i Gryce, który nie zważał na nic, co się w koło niego dzieje. Z zmarszczonem czołem wpatrywał się na szeroki pas aksamitny, obszyty dokoła jedwabnej sukni Ewy, jak gdyby usiłował odgadnąć najtrudniejszą w świecie zagadkę.

— Spodziewam się — rzekł grzecznie Kameron — że pan wkrótce zajmiesz się sam leczeniem twojej pacyentki. To uwięzienie, o którem mówiłeś, nie może trwać długo. Prokurator wykryje całą prawdę.

Molwort smutnie potrząsnął głową.

— Nie liczę na to — szepnął. — Nadzieje są zwodnicze!

Potem ukłonił się nizko w kierunku okna, gdzie Ewa zawsze jeszcze stała nieruchoma, i wyszedł z pokoju.

Za nim postępował Gryce, z dziwnym, tajemniczym uśmiechem na ustach.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wiadomości.

Jeszcze wciąż można zapisywać „PRACĘ“ na miesiąc Luty i Marzec.

Kto więc dotąd „Pracy“ nie zapisał, niech wpłaci na poczcie bezzwłocznie

tylko 67 fenygów,

a dostawać będzie pismo nasze przez cały kwartał w każdą niedzielę.

„Praca“ zapisaną jest pod rubryką II t. Nr. 86.

Każdemu nowo przybywającemu abonentowi wyślemy na życzenie natychmiast i to za nadesłaniem kwitu pocztowego i 10 fen. na porto: 1) początek bardzo zajmującej powieści **„Żona Doktora“** oraz 2) początek *oryginalnej* powieści **„Politykier“.**

Mianowicie powieść „Politykier“ żywo interesuje, a formalnie przykuwa każdego Czytelnika do czytania.

Nadto już sam numer wielkanocny
bogaty w doborową treść i piękne ilustracye
przekroczy wartość prenumeraty.

Ufni, że Szanowni Czytelnicy i nadal poprą usiłowania nasze, dołączyliśmy do zeszłego numeru kartę z usilną prośbą o łaskawe podanie tychże krewnym, przyjaciołom i znajomym z gorącą zachętą do abonamentu „Pracy“.

Powtarzamy więc naszą prośbę a mianowicie, by nie zniszczyć odnośnej karteczki, lecz podać takową łaskawie znajomemu. Mozoł ztąd wynikły niezbyt wielki, a przysługa dla dobra ogółu — jest znaczna.

Gdyby ***każdy*** z Szanownych Czytelników ***zyskał choć jednego*** jeszcze abonenta, jużbyśmy silnie stanęli na nogach i mogli wydawać pismo tak pięknie ilustrowane i w doborową treść tak obfite, jakiego dotąd Wielkopolska nie miała.

Na razie czynimy co w naszych siłach, a dążąc ustawicznie do upiększenia naszego wydawnictwa, już od połowy bieżącego kwartału dołączać będziemy kolorowane, pięknie ilustrowane obrazy i to najpierw w starannej reprodukcyi:

WOJSKO POLSKIE

w 13 obrazach, następnie zaś najważniejsze chwile z historyi polskiej, jak na przykład:

BITWĘ POD GRUNWALDEM,

Hołd Iwana Groźnego, Bitwę na Psiem Polu itd. itd.

Prosimy o poparcie, a my odwzajemnimy się stopniowem ulepszaniem naszego tygodnika.

Każdy kto tylko zażąda, otrzyma natychmiast gratis i franko każdą ilość numerów „Pracy" w celu rozdania takowych na okaz.

Również prosimy Szanownych Czytelników, którzy poznali usiłowania i dążenia naszego pisma — o łaskawe podanie nam adresów osób, którym możnaby wysłać numer okazowy.

Premia.

Kto zjedna nowego abonenta na „Pracę" i nadeśle do Administracyi odnośny kwit pocztowy wraz z własnym kwitem otrzyma tytułem premii

kilka bardzo zajmujących

książek.

Kto zjedna kilku abonentów i nadeśle odnośne kwity pocztowe, otrzyma **po dwie książki za każdego abonenta.**

Wydawnictwo „Pracy".

Początek powieści „POLITYKIER" i „ŻONA DOKTORA" już ukończony i zgłaszającym się wysłany. Kto więc dotąd nie otrzymał jeszcze początku odnośnych powieści, niech z dołączeniem kwitu pocztowego i 10 fen. na porto się zgłosi, a otrzyma takowe natychmiast. Kto nie dołączy kwitu, temu też odnośnych powieści nie wyślemy.

Za wiersz **„Wielkopolsce w Nowym Roku"**, zamieszczony w noworocznym numerze „Pracy" na str. 7 wytoczono nam proces. W odnośnym wierszu dopatruje się królewska prokuratorya obrazy hakatystów i obrazy pamięci Bismarka.

Tak więc pismu polskiemu niewolno pisnąć słówka, które hakacie nie w smak, lecz wolno takiej polakożerczej *„Schlesische Zeitung"* plwać i miotać obelgi na naszego nieśmiertelnego wieszcza Adama, przed którym korzy się naród cały.

O Mickiewiczu wyrażała się konserwatywna „Schlesische Zeitung" w sposób, uwłaczający całemu społeczeństwu polskiemu, lecz tam nie było prokuratora, nie było sądu! Wobec tego zkąd się ma wziąść szacunek dla Prusaków, zkąd czerpać wiarę w równouprawnienie?

Pan dr. Józef Chrzanowski, znany zaszczytnie specyalista w chorobach kobiecych i położnictwie, został zamianowany przez naczelnego prezesa operatorem na wydziale chorób kobiecych w Zakładzie Sióstr Miłosierdzia w Poznaniu.

Wieczornica. Urządzona w mieście naszem w zeszłym tygodniu w sali Lamberta za staraniem Patrona Towarzystwa terminatorów, X. prob. Kłosa, wieczornica tegoż Towarzystwa, zgromadziła na sali tak liczny zastęp publiczności, jak nigdy jeszcze nie bywało. Z zadowoleniem zaznaczył to w słowie wstępnem X. Patron, dziękując za ten objaw zainteresowania i życzliwości dla Towarzystwa terminatorów, którzy pragną okazać, że nie trwonią na marne czasu wolnego od pracy, lecz obracają go na przyswojenie sobie użytecznych wiadomości. Wieczornica wykazała też wymownie, jak zbawiennie i pożytecznie oddziaływa Towarzystwo rzeczone i opieka ks. Kłosa na młodzież rzemieślniczą.

Ogólną odznakę honorową za wierną służbę, otrzymał włódarz Ignacy Mierzwiak, który blizko 50 lat służy w Siemianicach, majątku pani hrabiny Maryi Szembekowej.

Wiadomości kościelne.

Archidyecezya gnieźnieńska i poznańska.

Dnia 4. b. m. opuścił prasę list pasterski na post Najprzewiel. X. Arcypasterza, który jest niejako uzupełnieniem zeszłorocznego listu, gdy bowiem tamten zawierał nadzwyczaj ważną naukę o obowiązkach rodziców względem dzieci, przypomina Najdostojniejszy Autor w tegorocznym swym liście dzieciom niemniej ważny obowiązek ich względem rodziców.

Pierwsza część listu odczytaną została w niedzielę dnia 5go b. m., a druga odczytaną będzie dzisiaj dnia 12go b. m. w miejsce kazania po ewangelii we wszystkich kościołach obudwóch archidyecezyi.

Gniezno. W zeszłą niedzielę odebrali z rąk Najprzewielebniejszego ks. biskupa Andrzejewicza święcenia dyakonatu: ks. Teofil Poprawski, dyrektor muzyki kościelnej, i ks. Jerzy Grecksch, dziekan seminaryum duchownego. Święcenia kapłańskie odbierze 9 księży w sobotę 25 lutego.

Chełmińska dyecezya.

Do księży, którzy 12 Lipca 1874 zostali w Pelplinie wyświęconymi na kapłanów i tego roku wspólnie na jednem miejscu obchodzić zamyślają 25tą rocznicę kapłaństwa, należy też X. Robert Górek, który przez kulturkampf zmuszony za granicą szukać pracy w duszpasterstwie, pozostał tam i w Bawaryi jest proboszczem. Prezentę na probostwo dała mu sławna rodzina Fuggerów, u której zjednał sobie wielkie zaufanie. X. Robert Górek zjedzie też na wspomniany wspólny obchód.

Dnia 31 Stycznia otrzymał ks. dr. Franciszek Michalski, profesor przy seminaryum duchownem w Pelplinie, kanoniczną instytucyą na probostwo przy Królewskiej Kaplicy w Gdańsku.

Warmińska dyecezya.

Nowo wyświęceni księża powołani zostali na następujące posady: ks. Franc. Kather jako drugi kapelan w Podstolinie, ks. Paweł Lunkwitz w Plauten, ks. Jakób Mayza w Szenwyzie w dekanacie sztumskim, ks. Walenty Nuszkowski w Kalwie, ks. Józef Samland w Gietrzwałdzie, ks. Oskar Thara jako drugi wikary w Kiwitach i ks. Bernard Zimmermann w Dywitach.

W niedzielę 29go Stycznia odbyła się uroczysta introdukcya nowego proboszcza ks. Blaschkego w Biskupcu. Komisarzem biskupim był dawniejszy proboszcz ks. kan. Herrmann, poseł do sejmu niemieckiego i pruskiego.

W miejsce zmarłego ks. kanonika Hipplera wybrała kapituła ks. kanonika Nitscha konserwatorem dyecezyalnego seminaryum duchownego.

Ks. kapelan Gems z Dywit przeniesiony do Lamkowa, ks. kap. Szulz z Wartemborka do Królewca, ks. kapelan Hoppe z Szenwizy do Wartemborka, ks. kapelan Osiński z Gietrzwałdu do Opalenica, ks. kapelan Stankiewicz z Kiwitten do Reszla, ks. kap. Boenki z Plauten do Melzaka. Ks. kapelan Holzmann z Melzaka wstępuje w stan spoczynku.

Ks. kapelan Szczepan Schulz z Królewca mianowany kuratusem tamtejszych Sióstr Elżbietanek, ks. kapelan Aloizy Schulz z Wartemborka trzecim kapelanem w Królewcu, ks. kapelan Hoppe z Szenwizy drugim kapelanem w Wartemborku a ks, kapelan Bernard Stankewitz z Kiwit trzecim kapelanem w Reszlu.

Jubileusze.

Rzadką uroczystość, bo złotego wesela, obchodził w sobotę, 11 bm. dawniejszy obywatel z Witkowa, a obecnie zamieszkały w Bückeburg, w Księstwie Schaumburg Lippe, pan Stanisław Gasztecki z swą małżonką Maryanną z Tschierrzych.

Pomimo tak podeszłego wieku, bo szanowny jubilat liczy 82, a jublilatka 72 lat, znajdują się małżonkowie przy najlepszych siłach i zdrowiu. Oby im Pan Bóg pozwolił doczekać dyamentowego wesela!

25-letni jubileusz służbowy obchodził w Inowrocławiu dnia 6 b. m. starszy knapfszaftowy, p. Michał Maciejewski, w salinie królewskiej.

Śluby.

We wtorek pobłogosławiony został w Inowrocławiu w kościele św. Mikołaja związek małżeński pomiędzy panną Zofią Bagińską z Inowrocławia a panem Kabatem — ogrodnikiem z Bydgoszczy.

Dnia 3 b. m. pobłogosławił X. prob. Józewicz w Kościeszkach pod Strzelnem związek małżeński pomiędzy Bartłomiejem Dzikowskim a Maryanną Zielińską z Sierakowa. Na skromnej uroczystości weselnej, jaka odbyła się w domu gospodarza p. G. Olejnika w Sierakowie, zebrano za jego pośrednictwem wśród godowników 10 marek na czytelnie ludowe. Przykład godny naśladowania!

Dnia 1 b. m: pobłogosławiony został w kościele parafialnym w Goniondzu na Litwie ślub pomiędzy p. dr. Bolesławem Knapnickim a panną Antoniną Sanden, córką Franciszka i Wiesławy z Karczewskich Sandenów.

Zmarli:

Ś. p. Bolesław Kowalski, przeżywszy lat 70 w Poznaniu, ojciec X. Ignacego Kowalskiego z Poznania.

Ś. p. Wacław Zenkteler w Hamburgu.

Ś. p. Bronisława z Przyłuskich Łuszczewska w majętności swej Dębach w Królestwie Polskiem.

Ś. p. Franciszka Janiszewska z domu Lewandowska w Gnieźnie, przeżywszy lat 79.

Ś. p. Nikodem Mayza, towarzysz sztuki drukarskiej w Toruniu, przeżywszy 52 lata.

Ruch w Towarzystwach.

Walne zebranie Banku Parcelacyjnego E. G. m. b. H. w Poznaniu na Piekarach nr. 18 odbyło się dnia 29 stycznia 1899 r. w sali hotelu Berlińskiego. Posiedzenie zagaił prezes Rady Nadzorczej, p. dr. Jarnatowski, proponując na przewodniczącego p. mecenasa Czypickiego z Koźmina.

Ostatni, przyjmując wybór, powołał na sekretarza pana Surmę i udzielił głosu do sprawozdania rocznego p. dyrektorowi Sikorskiemu.

Ze sprawozdania tego dowiadujemy się, że Bank Parcelacyjny rozparcelował przeszło 4000 mórg, zarabiając przytem na czysto 22,519 marek i 42 fen.

Z zysku tego przekazano między innemi 10,148,56 marek na rezerwy, które się wskutek tego podniosły do poważnej sumy 14,413,83 mk.

Kapitał udziałowy wynosił tylko 25,357 marek, to też dywidendę uchwalono dość znaczną.

Sprawozdanie z rewizyi Banku przez JWgo X. szambelana Wawrzyniaka dokonanej, odczytał prezes Rady Nadzorczej. Ksiądz Patron sprawdził bardzo skrupulatnie ogłoszony bilans, porównał go z książkami i nie znalazłszy powodu do udzielenia większych monitów, podał rozmaite drobne lecz cenne wskazówki na przyszłość i życzeniem dalszego pomyślnego rozwoju dla Banku protokół zakończył.

Protokół X. Patrona wywarł na Zebraniu bardzo dobre wrażenie, a że jeszcze członek komisyi rewizyjnej pan Osiński pochlebne świadectwo o prowadzeniu ksiąg bankowych wydał, Walne zebranie prawie bez dyskusyi tak Zarządowi jak też i Radzie Nadzorczej dało pokwitowanie.

Do większej dyskusyi przyszło przy wniosku Zarządu, aby z pozostałego do dyspozycyi Walnego zebrania czystego zysku przekazać 700 mk. na gratyfikacyą dla urzędników, a 487,19 mk. na utworzyć się mający fundusz inwalidów, wdów i sierot po urzędnikach bankowych. Stawiono tam najróżnorodniejsze wnioski, przy czem po kilka razy zabierali głos p. p. budowniczy Robiński, dyrektor Łopiński, Koczwara, Offierski, dr. Karchowski i wielu innych, w końcu jednakże większością głosów wniosek Zarządu przeszedł.

Do Rady Nadzorczej wybrano w miejsce pp. Radońskiego i Osińskiego panów Roberta Kluczyńskiego z Grodziska i Piotra Adamskiego z Poznania.

Miejska Górka. Teatr amatorski Koła śpiewackiego odbędzie się dnia 12 b. m. na sali p. Łukowskiego. — Prócz deklamacyi, śpiewu itd. odegrane będą: „10 tysięcy marek“, komedya i monolog „Icek kobieciarz“. Po przedstawieniu zabawa z tańcami. Dochód przeznaczony będzie na czytelnią Koła śpiewackiego.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Towarzystwu polskiemu św. Rocha w Dysseldorfie. Była to sprawa prywatna, o ile sobie przypominamy, nie mająca nic wspólnego z Towarzystwem. List odnośny już zniszczony, więc bliższej informacyi podać nie możemy.

Hr. Ł. Najserdeczniejsze dzięki.

Jmci Księdzu K. na prowincyi. Za niestrudzoną gorliwość zjednywania nam abonentów „Bóg zapłać“!

Kandydatowi teologii N. Dziękujemy, skorzystaliśmy natychmiast.

Panu J. K., kandydatowi prawa w Wrocławiu. Zamieścimy w następnym numerze.

Panu Stanisławowi P. w Dysieku. W tej sprawie poinformuje Pana najlepiej budowniczy.

Panu W. Pietraszewskiemu w Sokolnikach. Leisterdorfer Glashüttenwerke (A. Warmiński) Berlin N. Südufer 37).

Panu Stanisławowi W. w Inowrocławiu. Serdeczne Bóg zapłać za gorliwą agitacyą.

Pani W. G. w M. Prawda, że *nomina sunt odiosa*, ale humor i żart ma też swoje prawa, aby bawić Czytelników w sposób przyzwoity. Myśmy żarcik odnośny zaczerpnęli z najpoważniejszego dziennika warszawskiego „*Wieku*“ i nie sądzimy, aby się nim ktokolwiek czuł niemile dotkniętym tak w całej Kongresówce jak też w ziemiach polskich pod zaborem pruskim. Na przyszłość unikać będziemy wszelkich nazwisk zmyślonych „Rozrzutnickich“, „Kręcickich“ i t. d. i zastosujemy się najzupełniej do Jej uwagi, za którą najuprzejmiej dziękujemy.

Szarada.)*

Pierwsza z piątą w polu rośnie, gdy na [wiosnę siana,
Druga z trzecią liczba w gospodarstwie znana,
Trzecia z piątą tragarz niesie,
Czwarta zwierzę, mieszka w lesie,
Całość dla archeologa pożądana.

Rozwiązanie szarady z numeru 5-go: Sumienie.

Trafne rozwiązanie nadesłały następujące osoby:

Z Poznania.

Pp. H. Jednorowicz, A. Ludwiczak, M. S. Kubanowska, A. Najgrajkowska, Z. Rabski, M. Bolesławska.

Z przedmieść.

Z Jeżyc: pp. E. Piotrowski, C. Szmytkowska.

Z prowincyi:

Z Krotoszyna: p. M. Grobelna.
Z Kościana: p. F. Sikorski.
Z Gniezna: pp. H. Theurich, W. Szymczak.
Z Inowrocławia: p. S. Włodarski.
Z Ostrowa: p. J. Marszałek.
Z Grabowa: p. A. Żegarski.
Z Krobi: p. J. Bągorski.
Z Czempinia: p. J. Czyszka.
Z Wrześni: p. T. Szcześniak.
Z Miłosławia: pp. J. Rabska i W. Szajkiewicz.
Z Wronek: p. T. Lewandowska.
Z Raszkowa: p. F. Sosnicki.
Ze Środy: p. Z. Tafelski,
Z Wągrówca: p. W. Kruszka.
Z Łabiszyna: p. J. Biegański.
Z Gostynia: p. M. Olszewska w następującym wierszyku:

Nad złoto, srebro, perły i kamienie,
Cenniejszym skarbem jest czyste sumienie.

Ze Swarzędza: p. W. Krzyżaniak.
Z Jarocina: p. W. Sroczyńska.
Z Mieszkowa: p. S. Królikowska.
Z Kobylina: p. A. Busse.
Z Piły: p. L. Ruga.
Ze Stęszewa: p. A. Cielewicz.
Z Leszna: p. J. Olęderczyk.
Z Bydgoszczy: p. F. Kamińska.
Z Kobylepola: p. A. Metler.
Z Kiełczewa: p. J. Wypych.
Ze Strzyżewa kościelnego: p. S. Pietrzak.
Z Chyrzewa: p. Z. Gogólski.
Z Biechowa: p. Wł. Siejak.
Z Żytowiecka: p. J. Weiss.
Z Przysieki niemieckiej: p. St. Markowiak.
Ze Słomowa: p. A. Zagrodzki.
Z Lubostronia: p. A. Bessert.
Z Orzelskiego Młyna: p. M. Cholewińska.
Z Hameru (?!) p. S. Kobierzycki.
Z Bożejewa: p. Grabarski.
Z Drobnina: p. J. Szołdrska.
Z Morzewa: p. Klarowicz.
Z Rzęszkowa: p. Polińska.
Z Nowejwsi: p. S. Gawalewicz.
Z Piaskowa: p. W. Rogalski.
Z Duszna: p. Bogusławska.
Z Głuchowa: p. M. Depczyński.
Z Dąbrówki: p. S. Jadomska.
Z Wroniaw: p. Zagierski.
Z Wielkiego Sławska: pp. M. Mierzejewska, Z. Jaworska, H. Kublińska.
Z Kraczek: p. M. Wiewiórewska.
Z Głożyny: p. St. Haydesowa.
Z Siernik: p. I Szperkowski.
Z Zwoli: p. Fr. Bilski.

Z Prus Zachodnich.

Z Pelplina: stud teol. J. Rogalski.
Z Sztumu: p. B. Łyczywek.
Z Kartuz: p. J. Labudda.
Z Zblewa: p. I. Czaplewski.
Ze Świecia: p. K. Grzemia.
Ze Starogardu: p. M. Łyczywek.
Z Oliwy: p. Helena Oliwianka.
Z Więckowów: p. P. Swierkowski.
Z Reszków: p. I. Grünholz.

Z Prus Wschodnich.

Z Bronsberga: stud. phil. p. K. Majewski
Z Olsztyna: p. S. Zagierski.

Z Górnego Szląska.

Z Opola: p. Cz. Bągorski.
Z N. Piekar: p. F. Lorenz.
Z Pyskowic: p. F. Orlicki.
Z Dzierzysławia: p. Larysz.
Z Dziedzic: p. K. Szczepanek.
Z Pyskowic: p. J. Jeleń.

Z Galicyi.

Ze Lwowa: p. S. Brońkański.
Z Krakowa: p. Kaczmarski.
Ze Staregomiasta: p. M. Zarębianka.

Z obczyzny.

Z Berlina: pp. St. Piątkiewicz, K. Szuster, H. Turkowska.
Z Moguncyi: p. St. Flamm.
Ze Stralsundu: p. B. Kaźmierski.
Z Białogrodu pomorskiego: p. L. Siuda.
Z Strelitz (Meklenburgia): p. K. Orth, stud. tech.

Nagrodę otrzymali: pp. 1) M. S. Kubaszewska i 2) M. Bolesławska z Poznania. 3) C. Szmytkowska z Jeżyc. 4) M. Grobelna z Krotoszyna. 5) T. Szcześniak z Wrześni. 6) J. Rabska z Miłosławia. 7) F. Sośnicki z Raszkowa. 8) Z. Gogólski z Chyrzewa. 9) A. Zagrodzki z Słomowa. 10) S. Gawalewicz z Nowejwsi. 11) Bogusławska z Duszna. 12) S. Jadomska z Dąbrówki. 13) M. Wiewiórowska z Kraczek. 14) St. Haydesowa z Głożyny. 15) J. Labudda z Kartuz. 16) K. Majewski z Brunsberga. 17) S. Zagierski z Olsztyna. 18) K. Szczepanek z Dziedzic. 19) S. Brońkański ze Lwowa i 20) S. Piątkiewicz z Berlina.

Właściciel i wydawca M. Bidermann w Poznaniu. — Redaktor odpowiedzialny: Stanisław Chilomer w Poznaniu.
Czcionkami Drukarni „Pracy“ w Poznaniu, Rycerska ul. 38. Telefon Nr. 295.



Przed strojną królową balu
Korzą się młodzi i starzy:
Królowa jednych trucizną,
A drugich słodyczą darzy.
Każde jej oczu błyśnienie
Jest grotem, co w serce godzi,
U lilipucich jej nóżek
Ścielą się starzy i młodzi.



Na ostatki.

POLONEZ.

I.

Hej, Polskiego! a rzęsiście
Rżnij, kapelo, w zgodny takt!
Idą pary posuwiście —
Starościanko, zawrzem pakt!

Oto stoi w onej dobie,
Wielbiąc hożych wdzięków rój
Cnej urody w twej osobie,
Sługa i podnóżek twój.

Mościa panno, dłoń liliową
W męzkiej dłoni śmiało złóż,
Idź z wzniesioną dumnie głową
I rumieńcem z róż...

Starościanko, jako żywo
Z pod spuszczonych spojrzyj rzęs!
Patrz, rozpryska się ogniwo
Słodkich, miękkich więz...

Odbijany!... klaszczą w dłonie,
Rozwija się skrzętny wąż,
I ku różnej dążą stronie:
Dziewica i mąż.

Lecz niedługo wir się dąsa,
Rycerz twój pomyka już,
I junacko kręci wąsa —
Ty mu dobrze wróż.

Podgoloną wstrząsa głową
I wyloty rzuca w tył —
Teraz z pod twych stóp, królowo,
Czapką zmiata pył!

W oczach zerka coraz śmielej —
Uśmiechnij się aśćko doń!
Patrz: na głowni karabeli
Rycerz oparł dłoń.

Mościa panno, dłoń liliową
W męzkiej dłoni śmiało złóż,
Idź z wzniesioną dumnie głową
I rumieńcem z róż...

Hej, kapelo, a rzęsiście,
Rżnij, a hucznie w zgodny wtór,
Kroczą pary posuwiście
Jak królewski sznur...

Bożydar.



II.

Srebrny miesiąc górą płynie,
Lip gałęzie kwiaty ronią,
Słowik śpiewa w bzów gęstwinie,
Sad jaśminu dysze wonią.

Bokiem stawu czyste wody
Okien dworka światła dwoją, —
Po alejach panicz młody
Wraz z Basieńką błądzi swoją.

Nad czapeczką czaple pióro,
U smagłego kawalera
Przed cześnika piękną córą,
Coś się w prośbie poniewiera.

— „Lat już siła jejmość pannie
Affekt mój do stópek ścielę.
Konkurując nieustannie,
Niby Jakób o Rachelę.

W znak, że troski ni rozkosze
Nic afektów mych nie zgasi,
Wypalone prochem noszę
Na ramieniu imię Basi.

Świadom srogiej losów burzy,
Temu ufam nieodbicie,
Że nam przyszłość szczęście wróży,
Jakie daje ludzkie życie.

Bo gdzie ludzka moc się łamie,
Tam niebiosów sukurs bierze,
Choć do walki krzepkie ramię,
Sodalisa mam szkaplerze.

Przy tej mroku dziś zręczności
Przybliż moment, co śnię o nim,
Spraw niech do nóg jegomości
I jejmości się pokłonim.

Mej chudobie nieobfitej
Ludzkie oczy nie przyganią, —
Biały dworek w gaj zaszyty,
Czeka tylko na swą panią.

Czwórka siwków mych ognista,
Do kościoła kłusem wionie,
W organ zagrzmi organista,
A ksiądz stułą zwiąże dłonie. —

Drużba toast wzniesie w sali,
Co w światłości lśni powodzi,
I oracyę nam wypali.
Niechaj żyją państwo młodzi!

K. J. Jasiński.



MAZUR.

Nuże, grajku, z mazowiecka
Grać od ucha masz!
Z drogi ludzie! — od zapiecka
Grzmi już mazur nasz!...

Od hołubców lecą wióry,
Idzie mazur w skrach —
Już ci Mazur bije z góry,
Że aż patrzeć strach!...

Przytupuje Mazur z nogi,
Płomień w licu ma —
Ejże, ludzie! kto żyw z drogi!
To mazur. — Hu! ha...

. . . .

Otwórzcie się stare wrota,
Gdy Mazurów grzmi ochota!
I cisowe białe progi
Mazurowi dajcie drogi!
Rozstąpcie się cztery ściany
I ty dworze malowany!

Bo to mazur nasz! da-dana!
Bo to mazur nasz!...
A ty skrzypko czarowana
Chyba ogniem grasz!...

Lecą zuchy, lecą — płyną —
Czapka w garści nad czupryną,
Połyskują srebrne skówki,
Skry się sypią z pod podkówki,

Wpół sukmana podkasana —
Pójdź, dziewczyno ukochana!...

Taki mazur nasz!.. da-dana!
Taki mazur nasz!...
A ty skrzypko czarowana
Chyba ogniem grasz!...

Idzie dziewczę w tan zdradziecki,
Płomienisty, mazowiecki;
Skrami sypią śliczne oczy,
Furczą wstęgi u warkoczy,
Niby wstęgi kosy płyną —
Choćby zginąć za dziewczyną!...

Taki mazur nasz! da-dana!
Taki mazur nasz!
A ty skrzypko czarowana,
Chyba ogniem grasz!

Przytupnęła — przystanęła,
Fartuch wzięła — w bok się wspięła,
Przytupuje lekko z nogi —
Bieży Mazur do niebogi —
Ona stoi w żar odziana...
Hej, Mazury — na kolana!

Taki mazur nasz! da-dana!
Taki mazur nasz!
A ty skrzypko czarowana,
Chyba ogniem grasz!...

. . . .

Niech się święci łan polisty,
Mazowiecki łan,
Co wychował zamaszysty,
Ten siarczysty tan!

Rwie się długa nić przędziwa,
Szara, senna nić,
Gdy się skrzypka ozwie żywa:
—Dziś! dziś!—żyć —żyć—żyć!...

Przytupuje Mazur z nogi,
Płomień w licu ma —
Ejże, ludzie! — kto żyw — z drogi!...
To mazur! — Hu!... Ha!...

Bożydar.



Krakowiak.

Wypłynęła Wisła
Hej! ze śląskiej ziemi,
Srebrną piersią błysła,
Falami srebrnemi.
Nie doścignięsz wzrokiem —
Zginęła w przestworzu.
Wybiegła potokiem —
Znikła rzeką w morzu.

Płynie Wisła, płynie
Z pod Baraniej góry,
Kędy mgły w dolinie,
Nad górami chmury.
Lecz gdy wiatr powionie,
Chmura wnet odleci —
W jasnem Wisły łonie
Jasne słońce świeci.

Znam już świat daleki,
Hej! znam doskonale —
Są piękniejsze rzeki,
Przezroczystsze fale,
Wisła się nie dąsa,
Nie jest im zawistna:
Szumi — śpiewa — pląsa...
Krakowianka istna!

To też, gdy w noc piękną,
Przy skrzypicy graniu,
Podkóweczki brzękną,
Tonie noc w śpiewaniu;
Gdy ozwą się basy
I grzmią aż do ranka:
Hula — pełna krasy,
Wisła — krakowianka!

Mieczysław Gliński.



OBEREK.

Na Kujawach rzną skrzypice,
Skoczę w tanek, dziewczę chwycę,
Chwycę dziewczę z po za stoła,
Wykręcę je dookoła!

Dokoluśka widno z nieba,
Dokoluśka bochen chleba,
Dokoluśka talar biały,
Dokoluśka — świat je cały!

Niech ta w podłuż tańczą pany,
Z izby za próg — odbijany,
Na Kujawach — chwalić Boga —
Chłop nie przejdzie swego proga!

Na Kujawach, dziewczę moje,
Dzisia jedno, jutro dwoje!
Jasne słonko kołem chodzi,
Na co wejrzy, to zarodzi!

Kołem, kołem, po pod ściany,
Przez bok poła od sukmany,
Na łbie czapka, jak pół stoga,
Przy niej wstęga, że — laboga!

Kołem, kołem, po pod ściany,
Trzos rzęsisto nabijany,
A we trzosie dukat prawy...
— Jak Kujawy, to Kujawy!

Dokoluśka gniazda ptasze,
Dokoluśka chaty nasze,
Dokoluśka kumy, braty,
Dokoluśka płot u chaty!

Coraz prędzej Pietr muzyka
Po skrzypnicy ciągnie smyka,
Coraz gibciej dziewczę gnie się,
Jak węgorek w mokrym lesie!

Na przechybkę, na przegiętkę,
Oj załowię cię na wędkę!
Na przegiętkę, na przechybkę,
Oj załowię moją rybkę!

Czasem Bieda za mną ksobie,
Lecz ja odsieb migiem drobię,
Nim się Bieda odsieb ruszy,
Ja znów ksobie, co mam duszy!

Chce mnie Bieda za czuprynę,
To ja klęknę, to się zwinę,
To ku ziemi się przychylę,
Że nie dotknie mnie — i tyle!

Nie przychylę się daremno,
Wszędy Boża moc nade mną!
A i co mi za niewola?
Komu z pola mnie do pola!

Marya Konopnicka.



WALC.

Mam ciebie!... ująłem twą kibić ramiony,
Przy piersi pierś czuję, dłoń w dłoni,
A szybciej, a wdzięczniej, a głośniej brzmią tony,
Szmer płynie, za wirem wir goni

Coś szumi, wre, kipi, szeleszcze i dzwoni,
Szał, zamęt, gwar głuchy i wrzenie...
Za szmerem szmer płynie, za wirem wir goni
W obłędne, ruchome przestrzenie.

W rozwiane warkocze mkną światła i cienie,
Jak gwiazdy, strącone z niebiosów...
W ruchome, obłędne gdzieś płyniem przestrzenie,
Niepewni przeznaczeń i losów.

A burza się wzmaga i pieśni i głosów,
Gwiazd zamieć się sypie do koła...
Przeznaczeń niepewni, niepewni swych losów,
Płyniemy, gdzie pieśni głos woła.

O, pieśni! Czy jesteś ty pieśnią anioła,
Co balsam przynosi na rany?
Czy głos twój, gdy woła, do szczęścia mnie woła —
Nie będzie przez życie rozwiany?...

Coś w sercu się budzi — świat wzrasta różany,
Zapachem młodzieńczych lat wieje —
Nie będzie przez wichry, przez życie rozwiany?
Nadzieję, daj — pieśni! nadzieję!

Przy piersi pierś czuję, ust oddech mnie grzeje,
Odurza woń miękkich warkoczy —
Nadzieję, daj — pieśni! nadzieję, nadzieję,
Że w oczy mi spojrzą — jej oczy!

Pierś bliżej przy piersi, krew ogniem się toczy —
Szept płonie — to szczęścia zapowiedź!...
„Dam usta — korale... i gwiazdy dam — oczy,
I serce da sercu odpowiedź!“

Brzmij głośniej, brzmij — pieśni! w kraj słońca, gwiazd powiedź,
W kraj marzeń, zachwytów i wiary,
Że serce da sercu spragnioną odpowiedź,
Że marzeń mych wcielą się czary!

Kazimierz Gliński.



POLKA.

Skocznych dźwięków brzmi kaskada
Wśród salonów ścian.
Tancerz damie ukłon składa
I zaprasza w tan.

— „Polka serce mi podnieca
W kraju marzeń mknę.
Zaczynamy...“
— „Czy od pieca?“

. . . .

— „Pani! tyś jest dzisiaj różą
Śród stokroci pstrych,
Chciałbym ci powiedzieć dużo,
Słów nie strojąc w szych...

Ale wzrok twój — tak powabny
Spłoszy zamiar ten...“
— „Szkoda...“
— „Że...“
— „Żeś pan niezgrabny
Zdeptałeś mi tren...“

— „Wyrzut ten jest dla mnie raną,
Przeszył mnie jak grot!“
— „Panie, znów mnie udeptano,
Prędzej — w lewo zwrot!“

— „Dobrze, jeśli taka wola,
Lecz ty litość miej:
Nieszczęśliwa moja dola
Dzisiaj w polce tej!...“

— „Bo pan ustrzedz się nie stara
Groźnych raf, ni burz —
Znów nas trąca jakaś para...
Dość tej polki już!

— „Dosyć?...Szkoda! Wzdycham skrycie,
W sercu tętni żal...
Jabym z panią całe życie
Chciał tak sunąć w dal.

Chciałbym z ustek swej jedynej
Chwytać dźwięki słów...
Daj mi rączkę...“
— „Oświadczyny?...“
— „Nie to polka znów.“

Antoni Orłowski.



KONTREDANS.

I.

Byłem lekki, żwawy — tak, jak głowy,
Które wysnuły taniec ten
Dla wdzięcznych ruchów i rozmowy.
Oto w wędrówce salonowej
Przechodzą pary w takt miarowy
Wśród gwaru słów, szelestu tren.

— „Na taniec ten jest pani moją!“ —
Rzekł „on“, z innymi stając w rząd.
Może, pod białą gorsu zbroją,
Serce mu drgnęło, gdy rzekł: „moją“
Lecz wzrokiem szuka, gdzie też stoją
Ich *vis-a-vis*, by nie wpaść w błąd.

Jak szpaler się wydłuża sala:
Damy — wśród fraków czarnych plam —
W barwach od lilii do korala.
Mówić wodzirej nie pozwala,
Bo już podwójna rusza fala:
Passez, tournez i *chaîne des dames!*

II.

Tancerka płynie ku tancerce,
Mijają się, wracają znów...
Ach! jak tu wcisnąć parę słów,
Które podaje ustom serce!

Tancerka płynie ku tancerce,
Ku tancerzowi tancerz znów...
Na próżno serce szepce: „mów!“
Gdy taniec trzyma ich w rozterce.

Powraca wreszcie po raz wtóry
Na swoje miejsce owa, ów...
Znów *balancez, tour de main* znów,
I — koniec drugiej już figury.

III.

Sentymentalnie gra muzyka
Miłosną aryę z operetty.
Duecik jakiś w dal pomyka
Z „Bettiny,“ „Gejszy“ czy „Giletty.“

Ona: — „Jeżeli się nie mylę,
Pana to wzrusza... Czy wspomnienia?“
— „Gdy los nas łączy choć na chwilę,
Tej chwili nic już nie zacienia!“

— „Tak? Ja myślałam, że gdzieś w dali
Pan błądził...“ — „Pani, błądzę blizko...“
Messieurs, passez, — Znów w poprzek sali
Szlifują w takt posadzkę śliską.

IV.

— Więc całą stroną naprzód — brawo!
„Przynajmniej społem pomkniem raz.
Proszę o rączkę! — Całą ławą
Bezpiecznie ruszyć choćby w las.“ —

Robi się jakieś zamieszanie:
Tancerki — tu, tancerze tam...
— „Czemu pan za mną idzie? panie,
Tu rząd zostaje samych dam.

Przecie to czwarta a nie piąta!“
— „Pobłażliwości miej choć skrę,
Pani! bo mi się w głowie pląta,
„Gdy patrzę na cię...“ — *Tour de main!*

V.

— „Druh towarzyszkę mi zabiera,
Próżno trzymałem przy niej straż.
Ja sam zostaję nieboraczek,
On z dwiema pląsa aż...
Ha! taniec z Francyi, więc przedstawia
Francuzkie też *ménage.*“

Dawniej podobno stopą chyżą
Jegomość dreptał *pas de pigeon.*
Ucieśnie stroił twarz.
Dzisiaj za zbiegłą swą jejmością
Spokojnie dąży i z godnością,
Choć spotkał go *blamage.*
Lecz taką samą mści się dolą:
Niech teraz tamten tańczy *solo.*

— „Druhowi biorę towarzyszkę,
Daremnie trzymał przy niej straż.
On sam zostaje nieboraczek,
Ja z dwiema pląsam aż...
Bardzo przyjemnem jednak bywa
Francuzkie to *ménage!*“

VI.

Od orkiestry wichrem spada,
Jak kaskada, galopada,
Coraz prędzej, prędzej, prędzej
Rwie za sobą w cwał.

W gorączkowym jakimś wirze
Mkną, szybują pary chyże,
Coraz prędzej, prędzej, prędzej,
Jakby niósł je szał.

Rond! — Stubarwna, wielka żmija
W koło sali się rozwija,
Pląćze zwoje, łączy zwoje,
Wśród jarzących ścian.

Coraz szybciej gra kapela,
Krew rumieńcem w lica strzela
I namiętniej w żyłach tętni...
Dalej, dalej w tan!

A co potem, a co z tego?
Dokąd pary te dobiegą?
Czy w zapale, w zmysłów szale
Zadrży serce gdzie?

Nie z każdego owoc kwiata,
Wiatr zbyt mocny pąki zmiata,
Żar chwilowy, zawrót głowy
To nie miłość, nie!

I. Baliński.

Kotyljon.

Podwójnym sznurem, para po parze
Bal się wyciąga wzdłuż ścian;
Patrzą na siebie wesołe twarze,
Chwieją się wolnym rytmem wachlarze,
Akord przegrywki tonie w rozgwarze,
Wodzirej układa plan.

*

Mazur przebrzmiał. W niejednem jeszcze [tętni łonie
Rozkosznem upojeniem, co wrażeń po- [trzebie
Dodało tylko ognia, i niejedne dłonie,
Ledwo że się rozplotły, już tęsknią do [siebie.

*

— Pani!
— Panie?
— To dziwne...
— Dziwne? pan powiada,
Co? Żeś pan mnie zaprosił?
— Że pani przyjęła...
— Nie odmawiam z zasady.
— Ach! wszędzie... zasada!
— Pan byś wolał brak zasad?...

— *Panowie! Do dzieła!*
Zaczynamy!

*

Błysły odkrytych ramion opale,
Wionęły gazy leciuchnych szat.
Po wyślizganych tafli krysztale
Płyną ku sobie zwolna, niedbale,
Dwie różnobarwne, rytmiczne fale,
Na czarność fraka kładzie się kwiat,
Już się zlały, już wytrysły
Z szeregowych ciasnych ram...
Walc. Ku głowom główki zwisły,
Smukłych talii strój obcisły
W przytuleniu bawi zmysły...

— *Messieurs! changez des dames!*

*

— Oto krzesło.
— Dziękuję.
— Pani zbladła nieco.
— Ja zawsze blednę w tańcu...
— To objaw nerwowy.
Nim nasza kolej przyjdzie... z dobrocią [kobiecą
Uszczęśliw że mnie pani choć... szczę- [ściem rozmowy!
— Uszczęśliwić? Ja? Pana. Spóźnio- [ne żądanie.
W swoim czasie... gdy z mojej strony [były chęci,
Starałeś się pan o to dość... umiarko- [wanie...
— Więc pani tylko gorycz została w pa- [mięci?
— O! pochlebiasz pan sobie. Gorycz [z żalu płynie,
A mnie los wynagrodził za zwodnicze [mary.
Mam port spokojny w mężu, szczęście [w mej dziecinie...
— Czy to także... z zasady?

— *Trzecie, czwarte pary!*

*

Od sufitu wstąg kaskada
Drży nad kręgiem par;
Wre zawrotna galopada
Coraz inna kibić pada
W męzkich ramion żar.

*

— Ach nareszcie! O, zachwycie,
Przy sercu cię mam!
Niechże serca twego bicie
Zada słowom kłam.

Pierś twa dyszy, lica bledną,
Lećmy razem gdzieś!...
Na tę chwilę, na tę jedną,
Przeszłość naszą wskrześ!

Nie! nie puszczę! Nie! upieszczę
Cudne kształty twe —
Powiedz, kochasz ty mnie jeszcze?...

— *Mesdames! avancez!*

⁂

— Nie tańczę już...
— Litości! Jak to? ani cienia?
Tylko ten wzrok lodowy pod dumną po-[wieką?
O! wybacz szaleńcowi chwilę zapomnienia.
Byłaś mi taką blizką... jesteś tak daleką!...

— Bliższą się okazała światowa rachuba.
Byłam wolną, wierzącą i... wzajemną panu.
Czemuż...
— Nie kończ! Dziś wszystko poświę-[cę ci, luba,
A przyjmę... co dać zechcesz...
— Order z tarlatanu!
Żegnam pana!...

⁂

Wybrany przed swoją wybraną się schyla,
Różaną wiązanką ją darzy,
A ona mu wzajem przypina motyla,
I motyl się z różą kojarzy.

Co kwiecia! Co woni! Co śmiechu, wesela!
Upstrzone zbiegają się pułki;
Puk! Czapka pajaca z ładunku wystrzela!
Puk! Habit. Puk! Pancerz z bibułki!

⁂

Szał taneczny nie zna miary,
Gazy, tiule w poniewierkę!
Hej! Oberka! Pajac stary
W lot porywa wiwandyerkę.

Hej! ósemki, krzyże, kółka!
Usta płoną, oczy świecą...
Trach!!! rozdziera się bibułka:
Już z kostiumów strzępy lecą.

⁂

— *Wszystkie pary!*

— Brak jednej..
— Gdzież jest czwarta para?
— Pani X. już odjeżdża.
— Co? Mąż ją zabiera?
— Nie... słabo jej podobno.
— A! Historya stara...
Dawna miłość... A *on* gdzie?
— Zasiadł do pokiera.

Hajota.

Walc.

Czar niech zniknie ten,
Co dotąd upajał nas...
Już się rozwiał sen...
Rozłąki zbliża się czas.

Tak nam każe świat...
Tak każe przeznaczeń los...
Dzisiaj, jak z za krat,
Wzrok pieści twój kruczy włos.

A więc idźmy w dal,
Choć przyszłość zasnuta mgłą,
Choć rwie serca żal,
A w oczach łzy krwawe drżą.

Tak nam każe świat...
Tak każe przeznaczeń los...
Szał młodzieńczych lat
Za ludźmi wyśmiejmy w głos.

* * *

Wyśmiejmy... lecz z dawnych snów
Śmiech sztuczny nie zatrze nic
I kiedy cię spotkam znów,
Czar mnie upoi twych lic.

Gdy w oczach twych utkwię wzrok,
Gdy rękę twą ujmę w dłoń —
Wnet pierzcha z mej mrok
I żarem tętni mi skroń.

Cóż nam do tego, że świat
Serdeczną zerwać chce nić...
Z rozsądnych śmiejmy się rad...
My chcemy kochać i żyć...

Wszak życie może trwać wiek,
A szczęście przez chwilę trwa,
Czasie powstrzymaj swój bieg
Słodszy jest całus, niż łza.

* * *

Czar niech zniknie ten,
Co dotąd upajał nas...
Już się rozwiał sen...
Rozłąki zbliża się czas!

Patrz! miłości kwiat,
Jak dawniej lśni w perłach ros...
Ach! niewdzięczny świat
I ślepych przeznaczeń los.

Wł. Nawrocki.



Galopada.

Szał, jak wicher, w blasku, w gwarze
Z par tańczących wieje grona...
Lśnią karnety i wachlarze...
Białe piersi i ramiona...
Rozhukana i szalona,
Jak pędząca z gór kaskada,
Zapalając żarem łona —
Wre na sali galopada.

Despotyczny czar niewieści
To ci w źrenic toni błyśnie...
To cię szeptem cichym pieści...
To ci pierś zazdrością ściśnie:
Złota główka nieumyślnie
To na ramię twoje spada...
To przy ustach twoich zwiśnie...
A kto winien? Galopada.

Róż, konwalii i tuberoz
Woń drażniąca cię opływa...
Płata figle psotnik Eros
I obfite zbiera żniwa...
A tancerka ufna, tkliwa
Słodkich szeptów słucha rada...
Lecz się kwietny łańcuch zrywa,
Gdy się kończy galopada.

By rozplątać tę zawiłość,
Zapamiętaj moje słowa —
Piękna pani — bywa miłość,
Co się zowie „sezonowa.“
Cóżem winien, że się chowa
Za wachlarzem buzia blada?!
Szczęściem rwie się już rozmowa...
Bo się kończy galopada.

Wł. Nawrocki.

Szarady karnawałowe.*)

I.

Gdy młodzieniec wplątany w życiowe wypadki
Usłyszy *pierwsze* z ustek panny czy mężatki,
To znak, że czemś niebacznem zraził sobie panie,
Niech przeprosi — bo gburem w ich oczach zostanie.
Drugi wsteczny ma w pieczy nieraz te sekrety,
Które zawiera liścik pachnący kobiety.
Drugi wprost *i wspak pierwszy* na dalekim Wschodzie
Potęgą i czcią wielką cieszy się w narodzie.
Trzeci wsteczny oznacza, co jest niewiadomem,
Wszystek jest przywalony zajęcia ogromem,
On to ze swoją bracią ożywia salony,
On jest dziś rozrywany, goszczony, wielbiony;
Ale krótkie tryumfy, bo po karnawale
Rzadko bywa potrzebny, nie ceniony wcale!

II.

Pierwszy w kąt się odrzuca, kiedy pląsów doba
Lecz w ciszy i skupieniu zawsze się podoba,
Jeśli zawiera twory pełne takiej treści,
Która ducha podnosi, albo serce pieści.
Drugie — króciutkie słówko — wskazuje przyczynę,
A *trzecie* nas wprowadza w melodyi krainę.
Wszystka, karnawałowe zakończając dzieje,
Jednych spełnia, a innych zawodzi nadzieje.
Szkoda tylko, że w naszym przyzwoitym świecie
Tłum się *na owej wszystkiej* tłoczy, dusi, gniecie...

*) Za trafne rozwiązanie otrzyma pięć osób nagrodę przez losowanie. Rozwiązania muszą być nadesłane najpóźniej w Popielec do południa. — Przyp. Redakcyi „Pracy“.

Kącik humorystyczny.

Bohaterzy chwili.

O *nich* marzy ogół cały,
O *nich* mówią dzisiaj wszyscy,
Im dziś sercem każden stały,
Oni wszystkim dziś tak blizcy...
Gdy tak hołdy lud *im* składa
Z sercem ciepłem, szczerą duszą,
Dziwną wielce *ich* zasada:
Oni wcale się nie puszą!
Choć *ich* pańskie pragną progi,
Gardzić nie chcą skromną rzeszą,
Choć kto cichy i ubogi,
Swą bytnością go pocieszą.
Któż to!? któż to!? — wykrzykniecie,
Któż z tak skromnych dąży drzwiczek?
. . . .
Świeże pączki, jak nic w świecie...
Stokroć lepsze jak pierniczek. *R.*



Modlitwa.

Drukarnia „Pracy.“

